PO 166814

Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI. Warszawa, 20 lutego 1955 r. Nr 7 (481)

Biblioteka Uniwersytecka – Gdańsk
CW 9013

DOMINIK HORODYŃSKI

SPRAWY ŚWIATOWE

NIGDY prawdopodobnie w czasach pokoju zainteresowanie ludzi sytuacją międzynarodową nie było tak powszechne i żywe jak obecnie. Zjawisko to ma swe przyczyny społeczne, związane jest z okresem historycznym, który przeżywamy, wynika z awansu do aktywnego życia politycznego milionowych mas ludzkich we wszystkich prawie krajach, mas utrzymywanych dawniej w bierności. Związane jest ono również z rozwojem techniki, z faktem „zmniejszania się świata", coraz lepszym poinformowaniem o sobie i wzajemnym zainteresowaniem się narodów. Jednakże obok tych historycznych i pozytywnych przyczyn obecny wzrost zainteresowania się ludzi, czasem nawet w sposób nerwowy, sprawami międzynarodowymi i polityką zagraniczną państw ma swe źródła w niepokoju przed groźbą niszczycielskiej wojny. Ludzie widzą, że ich los, ich osobiste plany i owoce pracy stają się uzależnione od wydarzeń pozornie dalekich, od posunięć skomplikowanych, od spraw, na które trudno im wpływać. Stąd potrzeba lepszego poznania trudnej mechaniki polityki międzynarodowej, chęć rozszyfrowania istotnych źródeł zagrożenia, stąd dyskusje i pytania. Nie jest to zainteresowanie czysto intelektualne. Miliony ludzi starają się w tej chwili poznać i zrozumieć co się dzieje w sytuacji międzynarodowej, po to, by uwolnić się od poczucia bezsiły, by możliwie skutecznie przeciwstawić się groźbie wojny. Dlatego siły zainteresowane w wojnie usiłują przy użyciu wszelkich środków oddziaływania wywoływać zamieszanie pojęć i fałszować prawdziwy obraz sytuacji międzynarodowej.

Dobrze się więc stało, że kierownictwo ZSRR zdecydowało, że w związku z ponownym wzrostem napięcia w sytuacji światowej trzeba w sposób prosty sprecyzować kilka podstawowych prawd dotyczących pokoju i wojny, stosunków międzynarodowych, układu i rozwoju sił w świecie.

Awanturniczo - wojenna linia polityki amerykańskiej przeżyła poważne załamanie w okresie konferencji genewskiej i nie ulega wątpliwości, że w wyniku tego załamania nastąpiło znaczne odprężenie międzynarodowe otwierające perspektywy pokojowego rozwiązania wielu problemów spornych. Wojenne koła Stanów Zjednoczonych, w pierwszym rzędzie grupa Knowlanda i Radfordla, której wyrazicielem raz po raz staje się minister Dulles, nie uznały się jednak za pokonane. Rząd amerykański kontynuował politykę zbrojeń i rozbudowy baz wojennych doprowadzając równocześnie do nowych napięć, tak na terenie Azji jak i Europy. W Azji brutalna, dążąca do sprowokowania wojny akcja amerykańska przeciwko Chinom Ludowym izoluje Stany Zjednoczone od ich sojuszników i ustawia je w podobnie osamotnionej pozycji, jak miało to miejsce w okresie prób „umiędzynarodowienia" konfliktu indochińskiego. W Europie jednak polityka amerykańska remilitaryzacji Niemiec zachodnich uzyskała poparcie konserwatywnego rządu brytyjskiego i b. premiera Francji Mendes - France'a. Nawiasem mówiąc ten ostatni słuchając rad z Waszyngtonu w sposób niewiarygodnie lekkomyślny roztrwonił duże możliwości polityczne, którymi dysponował przed pół rokiem i które pozwalały mu odegrać osobiście poważną rolę międzynarodową i przywrócić Francji należne jej miejsce w świecie.

Układy londyńsko - paryskie i prowokacje w rejonie Taiwanu zwiększają niebezpieczeństwo wojny. Można jednak zaryzykować twierdzenie, że tylko pewna grupa przywódców amerykańskich świadomie dąży do wojny. Rząd Stanów Zjednoczonych i idące z nim ręka w rękę w sprawie niemieckiej rządy państw Europy zachodniej muszą się liczyć z coraz powszechniejszą wolą pokoju własnych obywateli oraz z groźbą zagłady, jaką rozpętanie wojny niesie dla ich własnych krajów. Posiadanie broni wodorowej przez ZSRR bardzo otrzeźwiająco wpływa na wszystkich zwolenników wojen. Po doświadczeniach genewskich, które pokazały jak trudno jest utrzymać koalicję dla celów wojny agresywnej, koła zainteresowane w wyścigu zbrojeń i utrzymaniu napięcia międzynarodowego wysunęły nowe hasło: polityki z „pozycji siły". Można powiedzieć, że w stosunku do hasła poprzedniego: „wyzwolenia". czyli jawnego głoszenia wojny agresywnej, to nowe hasło świadczy o mniejszej swobodzie ruchów kół wojennych. Jest tak niewątpliwie. Ale równocześnie hasło to daje większe możliwości oszukiwania opinii publicznej.

Od czasu konferencji genewskiej Związek Radziecki uczynił cały szereg propozycji pokojowych i kompromisowych zmierzających do umożliwienia rozwiązania problemów spornych na drodze rokowań. Warto przypomnieć doniosłe propozycje radzieckie w sprawie rozbrojenia, w sprawie wykorzystania energii atomowej oraz wielokrotnie ponawiane propozycje pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego. W tym też okresie kraje obozu budującego socjalizm sprecyzowały swoją koncepcję współistnienia państw o różnym systemie społecznym. Ta wielka ofensywa pokojowa krajów socjalizmu podważająca same podstawy polityki zbrojeń i awantur nie mogła być zaatakowana wprost. Zaczęto więc osłabiać jej oddziaływanie w sposób okólny. Zaczęto mówić, że pokojowa polityka ZSRR jest dowodem słabości Związku Radzieckiego, że oznacza ona gotowość do nieograniczonych ustępstw a nawet rezygnacji ze strony krajów socjalistycznych, że jest ona wynikiem „polityki siły" i przewagi materialnej państw kapitalistycznych. Co więcej, zaczęto przechwytywać samo pojęcie współistnienia mówiąc: tak, współistnienie to dobra rzecz, ale musi to być współistnienie z „pozycji siły" i uzbrojone po zęby; jeśli chcecie, obywatele, współistnienia, musicie zgodzić się na zwiększenie zbrojeń. Zaczęto snuć niedorzeczne marzenia na temat „warunków" koegzystencji wysuwając takie żądania jak np. domaganie się, by zjednoczenie Niemiec oznaczało aneksję NRD przez Republikę Federalną i włączenie całych zremilitaryzowanych Niemiec do paktu atlantyckiego, domaganie się „gwarancji", że cała niesocjalistyczna dziś część świata, jak południowo - wschodnia Azja, Bliski Wschód, Afryka i Ameryka Łacińska na zawsze pozostanie domeną eksploatacji dla kapitału obcego itp. niepoważne lecz groźne pomysły. Groźne, gdyż pod przykrywką propagandy o rzekomej skuteczności „polityki siły" zaczęto dokonywać posunięć grożących bezpośrednio wojną, np. stawiania na nogi armii zachodnioniemieckiej i gotowość wyposażenia jej w broń atomową. Rzecz jasna, że Związek Radziecki musiał przywołać do porządku nierozważnych głosicieli „polityki siły".

Sądzę, że aby dobrze zrozumieć sens zawarty w ostrzeżeniu moskiewskim pamiętać trzeba, że dla obecnych przywódców amerykańskich polityka zbrojeń i awantur jest nie tylko narzędziem szykowania wojny, którą odrzuca przygniatająca większość ludzi mieszkających w uzależnionej od USA części świata, ale równocześnie ta polityka zbrojeń jest sposobem utrzymywania w zależności od Waszyngtonu tak sojuszników Ameryki jak i opanowanych przez nią krajów zacofanych i półkolonialnych. Zbrojenia i napięcie międzynarodowe to policyjny oręż władców Stanów Zjednoczonych dławiący rozwój gospodarczy, społeczny i polityczny innych krajów, obrońca statyczności stosunków w świecie kapitalistycznym.

Wszyscy wiemy, że z wielu zasadniczych przyczyn obóz naszych krajów zainteresowany jest w utrzymaniu trwałego pokoju i wstrętna mu jest myśl o wojnie. Wiedzą o tym również ludzie w świecie kapitalistycznym. Równocześnie jednak ludziom krajów socjalizmu, bogatym w doświadczenia społeczne, zawsze obcy był oderwany od rzeczywistości pacyfizm. Czym innym są naiwne, choć często szlachetne narzekania pacyfistów, czym innym dojrzała myśl polityczna w służbie pokoju. Ta ostatnia wie z doświadczenia, że nie wolno ustępować przed pogróżkami.

Ostatnie posunięcia i oświadczenia radzieckie stoją dziś w centrum zainteresowania opinii światowej i są przedmiotem wielu komentarzy. Istotnie, zmiana na stanowisku premiera ZSRR, wielkie exposé Mołotowa omawiające sytuację międzynarodową, przemówienie Bułganina, deklaracja Rady Najwyższej ZSRR, wywiady udzielone dziennikarzom amerykańskim przez przywódców radzieckich, inicjatywa radziecka zwołania konferencji międzynarodowej w sprawie konfliktu chińsko - amerykańskiego — są to wszystko wydarzenia ważne, nad których znaczeniem warto się zastanowić i sens ich dobrze zrozumieć.

Obóz państw budujących socjalizm, których trzonem jest ZSRR, znajduje się w ciągłym procesie rozwoju. Wzrasta jego siła i zakres, zmienia się jakość, stają przed nim coraz nowe zadania wewnętrzne i zewnętrzne. W związku z koniecznością rozwiązywania tych nowych zadań dokonano pewnych zmian w rządzie ZSRR. Ten proces kształtowania się kierownictwa zjednoczonego wokół Komitetu Centralnego KPZR jest zjawiskiem normalnym i oczywistym.

Analizując ostatnie oświadczenia przywódców radzieckich widzimy, że kładą one nacisk na pewne podstawowe sprawy.

Przypomniane zostały prawa rozwojowe historii, ich klasowy charakter. Dokonany został przegląd sił ZSRR i całego obozu socjalistycznego, uwypuklony został proces stałego rozwoju tych sił. Wskazano, że w najważniejszej sprawie obrony pokoju kraje nasze mają miliony sojuszników we wszystkich państwach kapitalistycznych, że szeregi tych sojuszników stale rosną. Wskazano, że rośnie również waga tych państw niesocjalistycznych, które zdecydowanie prowadzą politykę porozumienia np. Indii. W sposób nie pozostawiający miejsca na żadne wątpliwości przywódcy radzieccy rozprawili się z tzw. polityką siły, wskazując, że próby tej polityki zwiększają niebezpieczeństwo wojny. Kraje nasze nikomu nie zagrażają i nie mają zamiaru zagrażać, byłoby jednak lekkomyślnością sądzić, że będą one bezczynnie przyglądać się jak w Niemczech zachodnich szykować się będzie przeciwko nim agresja. Związek Radziecki uroczyście oświadczył, że w razie zaatakowania potrafi się skutecznie bronić i rozgromić najeźdźcę. Nacisk, jaki przywódcy radzieccy położyli w swych przemówieniach na ciężki przemysł i obronność kraju jest aż nadto wymowny.

Równocześnie raz jeszcze podkreślone zostało, że wszystkie problemy sporne mogą być rozwiązane na drodze negocjacji, że zasada współistnienia i współpracy pokojowej państw o różnych systemach społecznych pozostaje stałą wytyczną polityki radzieckiej. Rada Najwyższa ZSRR wezwała wszystkie parlamenty świata i wszystkich działaczy do zdwojenia wysiłków w kierunku zbliżenia między narodami do lepszego wzajemnego poznania się, do rozproszenia nieufności i nieporozumień.

Światowa opinia publiczna żywo zareagowała na doniosłe oświadczenia przywódców radzieckich. W świetle tych oświadczeń staje się dla wszystkich rzeczą jasną, że ZSRR gotów jest szczerze współpracować nad doprowadzeniem do rozbrojenia, nad rozwiązaniem sprawy Niemiec i bezpieczeństwa Europy, jak też nad wszystkimi innymi trudnymi problemami dzielącymi dziś świat. Czynniki zainteresowane w utrzymaniu napięcia starają się, jak zwykle, przeinaczać sens oświadczeń radzieckich. Mówią o „zmianie linii", o odpowiadaniu „polityką siły" na „politykę siły" itp. Przypomina się stare powiedzenie o tym, że jeśli przeciwnik nas gani widocznie dokonaliśmy posunięcia bardzo dlań niewygodnego.

W świetle całości wydarzeń politycznych jak i w świetle oświadczeń radzieckich sytuację międzynarodową, która jest tematem tego artykułu, oceniać trzeba w sposób dialektyczny. Niebezpieczeństwo wojny jest poważne, ale równocześnie stale wzrastają szanse utrwalenia pokoju. Wszystko wskazuje, że rozsądek ludzkości odniesie zwycięstwo nad szaleńcami. Ostatnie enuncjacje radzieckie rozwiewają zasłony dymne rozpuszczane przez czynniki wojenne dla zaciemniania prawdziwego obrazu świata, oddają dobrą przysługę sprawie pokoju.

Dominik Horodyński

ZYGMUNT FALKOWSKI (JAN GÓRSKI)

BALLADA FRYDERYKA CHOPINA

1

Gdy wchodzisz, wstrząsasz kędziory
Pallas-Ateny — miedziane,
blask siejące, melodyjne,
rytmom kroków zawierzane.

W kędziorach twoich jak w nocy
są drzewa, ptaki i chmury,
instrumenty wszelkiej mocy
i wsparte ich dźwiękiem chóry.

Są nagłe i złote miejsca
jak zapalane w mieście okna.
Później ciemność prosta, wiejska,
pachnąca po deszczu i mokra.

2

Wieczór konie dymiące wyprzęga,
obłokami parują ich nozdrza
i dygocze biegu potęga.
Rozrzuciła włosy swe zorza.
Nad ulaną z brązu płaszczyzną
Wisły — w kratach rybackich sieci
pierwsze gwiazdy pieniste wybryzną.
Pluśnie woda. Wron stado przeleci.
Bryła nieba z domami na spodzie
skłonem dachów powtarza się w wodzie.
Zza uliczek krętych wygląda
kabłąk mostu niby zarys garbu
obładowanego księżycem wielbłąda,
przewoźnika nocy i skarbów.
Później, później szyby się różowią.
Franciszkanie dzwonią, pieje kogut.
Wyjrzysz oknem, nie ma nikogo.
Tylko świt — w złotogłowiu.
Na powietrznej miasta sylwecie
kładziesz palce swe jak na flecie.
Każdy gest twój — wymiarem harmonii
rzeczom, ładu architekturą.
Ciało twoje jak rzeźba blask chroni
dojrzałego w słońcu marmuru.
Przestrzeń daje taki kształt głowie,
jaki starzy wielbili mistrzowie.

3

Domy, drzewa w słonecznym wąwozie
cynobrowy jesieni jad przeżarł.
Tam — już w kamień obrócony Cezar.
Tam — plac ukląkł w gladiatora pozie.
Przez niebieski czad nurtu Sekwany
czujesz bełkot i piasek wiślany.
Nad balkonem lekkim jak koncha
pian różowych — już tylko siedliska
chmur i światła drżącego opył,
co, gdy spada, bruk w diament rozbłyska.
Był tam okrzyk tłumu. Rydwany
nadpowietrzne, w Tryumf wprzężone
z rumakami o grzywach rozwianych
przeleciały i padły zwęglone.
I cóż? Trzeba ten proch klęski wtórej
zebrać, szczypty po szczypcie odważać
przy płonących do rana lichtarzach
w biało-czarnych palcach klawiatury.
Noc połyskiem latarni wilgotna
siada w progu — milczący wtór.
Oprócz gwiazd tej Kasandry czuwają:
łoskot serca i najazd chmur.

4

Od grzybóbb brunatnych w lesie,
od stert dojrzałych omłotom
oczy twoje oderwał wrzesień
i obrócił ku ptaków przelotom.

Na skłonionej do wody łące
gdzieś w polowie pieśni pastucha
spadał pocisk w południe gorące,
a o zmierzchu spod rąk twych wybuchał.

Jarzębiny, klony, kasztany
wykuwały bezdźwięcznie swe złoto.
Wóz trzęsący odmykał rany
żołnierzowi w tułaczce powrotu.

Gdzieś w rumiany wieczór świerczyna
przysłoniła księżyc żałobą.
I znów biegły spod rąk twoich obu
srebrne strzały i gniew Apollina.

5

Z mlecznie białych pyłów Akropolu,
z ruin, które choć obce — to bolą
zstępowałaś, gdzie ciżba żołdacka,
o, bezskrzydła Nike Samotracka!
Twym ramieniem księżyc rozcięty
zwisło ramię na miedzianej tarczy,
martwe światła, oniemiałe sprzęty,
ściany, którym szum głuchy chmur starczy.
Wierzby biegu czarnych wód bronią,
wiatr pasmami ptactwo rozwleka
utrudzone bezsterną pogonią
w pustce, której pustka znów czeka.
Brzask swój wątły rumieniec w mgłach chowa,
zawieszony cień strzępi się, pała.
Złotą lutnię świeczników liliowa
smuga gasi, by jutrznia wleciała
i cień ptaków kłębiących się w chmurze
na twarz we łzach przy klawiaturze.

— — — — — — — —

I kipi moc twoja
marmurowym okrzykiem heroja.
Oczy zimne, przymknięte w połowie,
a kim jesteś — to później bluszcz powie.

PRZED POTOPEM
...jeszcze para radykałów, para gaullistów, para socjalistów, para...
Témoignage Chrétien

JEDNA z ostatnich karykatur politycznych, dotyczących Mendès-France'a, jaka się ukazała w prasie paryskiej przed jego upadkiem, przedstawiała francuskiego premiera w stroju Noego, przed arką w kształcie portyku Zgromadzenia Narodowego. Mendès-France, który raz jeszcze dokonywał reorganizacji swego rządu, przesuwał, mianował, zmieniał ministrów, liczy u wejścia do swej rządowej arki: jeszcze jedna para socjalistów, jedna para radykałów, jedna para zwolenników de Gaulle... A nad horyzontem toczą się ciemne chmury, zwiastujące zbliżający się potop. Nad nimi napis: „ordynacja wyborcza".

Arka francuskiego Noego nie uratowała się przed potopem, utonęła przy podmuchach burzy parlamentarnej, wraz z tak pieczołowicie liczonymi parami ministrów różnych autoramentów.

Upadek rządu Mendèsa był przewidywany w Paryżu już od połowy grudnia. Wówczas jednak wróżono mu jeszcze istnienie do pierwszych dni stycznia. Rząd wywalczył sobie od tego wyroku jeszcze miesięczne zawieszenie, lecz ani jednego dnia więcej. Trudno się zresztą spodziewać, by ktokolwiek we Francji żywił na ten temat złudzenia. Naczelny redaktor dziennika LE MONDE, Beuve Mery prorokował to głośno — opozycja znosi rząd Mendès-France'a tylko dlatego, że nikt inny nie ma odwagi przedkładać Izbie Deputowanych nowych układów paryskich. Gdy te zostaną wreszcie ratyfikowane — wyrok zostanie wykonany. „Ils l'abatteront", napisał dosłownie Beuve Mery.

Wyrok został wykonany w okolicznościach wyjątkowo ponurych. Za pretekst posłużyła debata nad polityką francuską w Afryce Północnej, co do której nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przyniosła w ciągu ostatnich lat pokłosie deptania praw, krzywdy, ucisku i zbrodni. Mendès, najdalszy od chęci wyrównania dokonanej niesprawiedliwości, chciał rozładować zbyt napięte nastroje przez politykę ustępstw i kompromisów. Tę politykę łagodzenia sytuacji przez półśrodki zaatakowała właśnie opozycja, składająca się z polityków najbardziej winnych za błędy i zbrodnie okresu poprzedniego.

Od dłuższego czasu życie parlamentarne i polityczne Francji wykazuje objawy daleko posuniętego rozkładu i budzić musi głęboki niepokój u przyjaciół Francji. W tym jednak wypadku zakłamanie i hipokryzja głównych antagonistów rządu przekroczyły już chyba wszelkie granice.

Przeczuwał to artykuł wstępny „TEMOIGNAGE CHRETIEN", poprzedzający o jeden dzień upadek rządu:

Trzeba stawiać sprawę logicznie i jasno: upadek rządu, o ile nastąpi, otworzy groźny dla Francji okres w Afryce Północnej. Nie o to chodzi czy jest się za, czy przeciw panu Mendès-France, chodzi o to, by stwierdzić czy istnieje jeszcze pojęcie dobra narodowego, obowiązującego poza i ponad zawiściami poszczególnych partii, nienawiścią pomiędzy tymi a tamtymi, interesami finansowymi takich czy innych grup kapitalistów w Północnej Afryce.

Francja posiada własny cel istnienia; niesie ona poprzez dzieje zespół wartości, które stanowią jej sens właściwy. Francja zaparła się tych właśnie wartości, gdy, podczas rokowań z przedstawicielami rządu Wietnamu w Fontainebleau w roku 1946, wybrała drogę wojny.

Czyż głosowanie w Parlamencie stanie się aktem historycznym podobnym do zbombardowania Haifongu (które rozpoczęło wojnę w Wietnamie, przyp. aut.)? Niech każdy z deputowanych rozsądzi to dokładnie w swoim sumieniu!

Charakterystycznym szczegółem, rzucającym jaskrawe światło na moralność polityczną francuskiej opozycji, jest fakt, że Pinay, który ponosi walną część odpowiedzialności za rozwój terroru w Afryce Północnej, który głosował przeciw rządowi, zarzucając mu nadmierną ustępliwość, ten sam Pinay zachęcał premiera Ben Ammara do stawiania Mendèsowi żądań bezkompromisowych, obiecując w zamian daleko idące ustępstwa, gdy tylko dojdzie do władzy!

Mendès-France upadł ze swym rządem, a Pinay, po bezskutecznych próbach musiał zrezygnować z ambicji ponownego objęcia stanowiska premiera.

Francja ma więc za sobą ów słynny „eksperyment Mendès-France". Jakiż jest bilans tych siedmiu miesięcy?

Przez siedem miesięcy na czele rządów Francji stał człowiek, który w niczym nie zrywając z generalnymi założeniami burżuazyjnej polityki, próbował uratować mocarstwowe stanowisko Francji w świecie atlantyckim. Musiał on w pierwszej więc kolejności zlikwidować to wszystko, co było spuścizną po bankructwie polityki licznych jego poprzedników. Musiał (skoro chciał pozostać wierny zobowiązaniom atlantyckim) przebrnąć przez kwadraturę koła układów paryskich i remilitaryzacji Niemiec. Musiał w jakiś sposób ustosunkować się do groźniejszego z dnia na dzień konfliktu w Afryce Północnej, musiał wreszcie spróbować pchnąć z martwego punktu gospodarkę i wewnętrzną politykę Francji.

Jeśli trzeba stwierdzić, iż olbrzymim nakładem osobistej energii i inteligencji Mendès-France potrafił ruszyć z miejsca zardzewiałą machinę polityczną Francji — to jednak, i mimo wszystko, siedem miesięcy jego rządów sumuje się ostatecznie bilansem negatywnym.

Udało się Mendès-France'owi uratować wojska francuskie w Indochinach przed ostateczną katastrofą i doprowadzić do zawieszenia broni, którego opinia francuska domagała się od dawna. Na tym jednak skończył się względny sukces dyplomatyczny jego rządu, względny, gdyż sprowadzający się w istocie tylko do wykorzystania koniunktury, stworzonej przez pokojową politykę demokratycznych sił Wietnamu, Związku Radzieckiego i Chin Ludowych. Rząd Mendès-France'a nie potrafił ani przeprowadzić konsekwentnie zapoczątkowanej w Genewie polityki porozumienia z rządem Wietnamskiej Republiki Demokratycznej, jak również nie potrafił ustrzec strefy południowej przed nieustanną ingerencją amerykańską. Dziś, w rezultacie tej polityki narasta zarówno w Hanoi jak i w Paryżu przeświadczenie, że rząd francuski nie umiał dotrzymać zobowiązań genewskich. Jednocześnie sytuacja w południowym Wietnamie wymyka się całkowicie spod francuskiej kontroli, rząd Diema w Saigonie demonstruje z każdym dniem wyraźniej swą wrogość wobec Francji i swą uległość wobec instrukcji ambasady amerykańskiej.

Jeszcze tragiczniejszy był „taniec śmierci" francuskiego rządu w obliczu perspektywy remilitaryzacji Niemiec. Starczyło Mendèsowi sił na storpedowanie układów powszechnie odrzucanych przez opinię publiczną. Nie starczyło mu jednak sił na szukanie nowej, własnej polityki dla Francji. Chcąc za wszelką cenę odzyskać uszczuplone debatą zaufanie Amerykanów, mógł tylko Mendès-France szukać innej kombinacji dla tego samego planu. Jakiekolwiek zmiany i subtelne przesunięcia sił wprowadzał nowy projekt Europejskiej Unii Obronnej, konsekwencje pozostawały takie same: remilitaryzacja Niemiec zachodnich, zagrożenie Francji przez oś Waszyngton — Bonn, wzrost napięcia politycznego w Europie. Premier Francji znalazł tylko jeden istotny argument w obronie swego projektu: „Jakkolwiek to nie jest w naszym interesie — nie mamy innej drogi wyjścia. Musimy słuchać Waszyngtonu".

Nic też dziwnego, że z dniem przeforsowania, wśród kompromitujących okoliczności, układów paryskich i londyńskich, rząd francuski, nie zyskawszy przyjaciół w opozycji, stracił większość swoich dotychczasowych popleczników.

Na odcinku afrykańskim rząd Mendès-France'a zdołał tylko, z największymi trudnościami, doprowadzić do rokowań z bardziej autorytatywnym niż poprzednio rządem tunezyjskim. Rokowania te jednak stanęły na martwym punkcie, gdyż nie uzgodniono dostatecznie jasno pojęcia „autonomii", która miała się stać podstawą rozmów. Upadek rządu przekreślił zresztą i te, tak nikłe, osiągnięcia. W Algerze sytuacja pozostała przez cały czas poza kontrolą rządową. W Algerze rządzi kapitał kolonialny przy pomocy legalnego i nielegalnego terroru. Policja jest na jego rozkazach, jak równie bandy gangsterskie, mordujące skrytobójczo algerskich patriotów. Nowomianowany gubernator Soustelle nie zdążył przed upadkiem rządu objąć swego stanowiska. Potęga mafii kolonialnej pozostaje nienaruszona. W Maroku sytuacja pogarszała się tylko w ciągu siedmiu miesięcy, krew płynęła, napełniały się więzienia. Rząd nie miał sił na przywrócenie do władzy usuniętego gwałtem sułtana, nic też praktycznie nie zrobił, by w czymkolwiek naprawić panujące tam katastrofalne stosunki.

Mimo, iż osiągnięcia rządu na odcinku afrykańskim są tak blade, Mendès-France uchodził za jedynego premiera, który stwarza jakieś, choć minimalne szanse polepszenia się doli ludności afrykańskiej. Toteż już w grudniu w Paryżu panowało powszechne przekonanie, że upadek Mendèsa przyjęty będzie przez ludność Afryki Północnej jako ostateczne zerwanie z wszelkimi nadziejami polubownego ułożenia stosunków z Francją. Nic też dziwnego, że przed głosowaniem nad votum zaufania dla rządu w debacie afrykańskiej, publicysta „TEMOIGNAGE CHRETIEN" przypominał posłom odgłosy złowrogich wystrzałów spod Haifong, które doprowadzić miały ostatecznie do klęski pod Dien Bien Fu.

Pozostaje już tylko do omówienia odcinek wewnętrzny polityki francuskiej. Mimo, iż Mendès - France uchodzi za tęgiego ekonomistę — Francja praktycznie była pozbawiona polityki ekonomicznej przez czas jego rządów. Ministrem Finansów był bowiem tenże sam Edgar Faure, który w tym, tak jak i w poprzednim gabinecie Laniela nie prowadził po prostu żadnej polityki ekonomicznej. „Skoro sytuacja materialna Francji nie jest najgorsza — po cóż u diabła mam się do niej mieszać": w ten to złośliwy sposób charakteryzowała prasa francuska założenia gospodarcze Edgara Faure. W chwili, gdy zmieniła się obsada teki Finansów i gdy Mendès zapowiedział reformy — gabinet upadł.

Były uczynione pierwsze, nieśmiałe próby opanowania niektórych odcinków — utarczki na przedpolu niektórych tajnych prywatnych monopoli, jak na przykład producentów alkoholi. I tu jednak, tak jak i na odcinku reformy ordynacji wyborczej, nie doszło w tym czasie do żadnych konkretnych faktów.

Taki jest więc ten niewesoły bilans siedmiu miesięcy rządów najenergiczniejszego i najzdolniejszego z premierów francuskich ostatnich dziesięciu lat!

Doświadczenie to dowodzi wymownie, że w chwili obecnej osobiste cechy charakteru niewiele mogą zmienić w kryzysie francuskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Kryzys wewnętrzny może być tylko przezwyciężony, gdy Francja zostanie wyposażona w politycznie odpowiedzialny parlament. Do tego zaś konieczna jest uczciwa ordynacja wyborcza, która by wymiotła różne kliki żyjące z intryg politycznych a potwierdziła siłę partii robotników Francji — Partii Komunistycznej.

Kryzys zewnętrzny zaś może być przezwyciężony tylko wówczas, gdy Francja zrzuci z siebie hipotekę atlantyckiego sojuszu. Tylko wówczas gdy Francja zdobędzie się na odwagę posiadania własnej polityki w najżywotniejszej sprawie — w sprawie niemieckiej, pozwoli jej na odzyskanie takiej pozycji, by mogła bez kompromitacji bronić w sposób rozsądny swych interesów w Afryce czy w Azji.

Po Mendès-France pozostał we Francji podwójny spadek: rozbudzone jego metodami rządzenia liczne ambicje polityczne, oraz nowe ugrupowanie pod nazwą „Nowej Lewicy".

Siedmiomiesięczny eksperyment ujawnił Francji ogrom błędów i nieudolności poprzedniego okresu. Ujawnił jednocześnie zgniliznę moralną niektórych kół parlamentarnych. Poruszenie wśród najszerszej opinii publicznej jest bez wątpienia duże. Szeregi „starej gwardii" politycznej, które z zimną krwią dobijały rząd w ciągu ostatniego miesiąca, rzuciły się w chwili jego upadku w wir rozgrywek o władzę. Chodzi teraz o to, by przywrócić jak najszybciej zwichniętą równowagę i przywrócić wpływ na władzę grupy starych, wytrawnych wyjadaczy parlamentarnych, a odsunąć „nowego człowieka", który w pewnej chwili stał się dla „klubu byłych premierów" niebezpiecznym konkurentem. Następny rząd będzie też próbował udawać dużą aktywność polityczną, dążąc jednocześnie, rzecz oczywista, do pozostawienia w ukryciu wszystkich palących a niebezpiecznych problemów: Niemcy, Afryka, Indochiny, finanse.

Mendès-France rządził właściwie bez stronnictwa, gdyż jego własne, radykalne, jest fikcją. Radykałowie mają za główną zasadę niewyznawanie żadnego programu i pełną swobodę poglądów. Stąd stronnictwo to jest raczej klubem politycznym niż partią. W swoim własnym stronnictwie spotkał Mendès swego najgroźniejszego wroga — byłego ministra Spraw Wewnętrznych Martinaud-Deplat. Jego własne stronnictwo odwróciło się od niego natychmiast po dymisji gabinetu.

Jeszcze parę miesięcy przed upadkiem rządu zaczęto we Francji lansować koncepcję „Nowej Lewicy". Za wcześnie jest dziś jeszcze na charakterystykę tego tworu bez skonkretyzowanego oblicza. Na razie, pod jednym hasłem łączą się tam siły najzupełniej nieskoordynowane. Mauriac, którego lewicowość jest co najmniej enigmatyczna, popierał głośno w ostatnim okresie Mendès-France'a i nawoływał do budowania „lewicy chrześcijańskiej". Jednocześnie z apelem o lewicę „liberalną i antymarksistowską" wystąpił niedawny „człowiek de Gaulle'a" — Malraux. O „Nowej Lewicy" mówią różne rozproszone zgrupowania lewicujące, pojedynczy politycy, którzy w ostatnim okresie oderwali się od swych macierzystych ugrupowań. Wszystko razem jest jednak jeszcze dalekie od siły politycznej, na którą liczy Mendès-France, jako na oparcie dla swego ponownego szturmu do władzy.

Wprawdzie Malraux zapowiadał, że „Mendès powinien upaść, by mogło dojść do krystalizacji („Nowej Lewicy"), niemniej jednak krystalizacja ta jest politycznie jeszcze zupełnie nierealna. Pomijając wszelkie różnice ideologiczne, jedność tej „Nowej Lewicy" rozbija się już wokół zagadnienia niemieckiego, gdy jedno skrzydło zamierza popierać dotychczasową politykę premiera, a drugie kategorycznie sprzeciwia się remilitaryzacji Niemiec.

Społecznie zaś nowy ten twór nic sobą na razie nie przedstawia. Do klasy robotniczej nie sięga, klasycznej burżuazji nie porusza, może najwyżej odwoływać się do poparcia pewnych kół inteligencji liberalnej lub katolickiej. To wszystko jest jednak jeszcze bardzo niewiele.

Mendès-France liczył jednak na efekt propagandowy tej akcji, która pozwoliłaby mu nawiązać bliższy kontakt z bardziej ruchliwymi ośrodkami opinii publicznej i zyskać sobie sympatie lewicującej inteligencji. Powróciwszy do opozycji będzie jednak musiał szukać mocniejszego oparcia wśród klasycznych stronnictw i grup politycznych.

Gdy opuszczałem Francję w grudniu Paryż żył już całkowicie w atmosferze zbliżającego się kryzysu politycznego. Wszystko wskazywało na to, że będzie poważny. Dziś można powiedzieć już jasno, że Francja przeżyła katastrofę. Nie była nią dymisja rządu. Było nią natomiast stwierdzenie bezskuteczności minionego zrywu energii politycznej. Było pogodzenie się świata politycznego z myślą powrotu do stanu poprzedniego marazmu. W chwili obecnej Parlament szuka komu najbezpieczniej pieczę nad tym dalszym marazmem powierzyć.

Ale dziś już sytuacja międzynarodowa nie pozwala na kultywowanie marazmu. Remilitaryzacja Niemiec nie jest już problemem do odkładania. Staje się rzeczywistością przed której konsekwencjami naród francuski chce się obronić. Dlatego właśnie napięcie polityczne będzie we Francji wzrastać. Dlatego poszczególne stronnictwa będą w stanie stałego wewnętrznego wrzenia, a rządy będą stale hamletyzować.

Z dniem jednak, gdy na horyzoncie powstanie perspektywa obalenia koncepcji odbudowy Wehrmachtu — życie polityczne Francji znajdzie dla siebie nowe tory, bardziej zgodne z interesami i z wolą całego narodu.

Wojciech Kętrzyński

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

PO POTOPIE

SZYMON DEREŃ

„WOJNA KRYMSKA" — ostatnie dzieło EUGENIUSZA TARLE

PRZED paru tygodniami zmarł jeden z najwybitniejszych historyków radzieckich, akademik Eugeniusz Tarle, specjalista w dziedzinie stosunków międzynarodowych XIX wieku. Wiele jego prac, między innymi o Napoleonie i Talleyrandzie, było tłumaczonych na język polski i zyskało sobie dużą poczytność. Ostatnim, może najlepszym dziełem zmarłego była monumentalna, dwutomowa monografia o wojnie krymskiej, której przekład jest jeszcze dziś do nabycia w naszych księgarniach.

Dzieło Tarlego zasługiwało całkowicie na wyróżnienie Nagrodą Stalinowską. Z niesłabnącym zainteresowaniem czyta się barwny i z zacięciem napisany opis wypadków i perypetii tej wojny. Zasługują zwłaszcza na uwagę rozważania o charakterze ogólnym, uwzględniające tło międzynarodowe, zakulisowe motywy działania poszczególnych aktorów dramatu dziejowego, sprzeczności między zainteresowanymi państwami wypływające z podłoża politycznego i gospodarczego, oraz głęboka analiza działań militarnych obu stron.

Świetne są charakterystyki poszczególnych mężów stanu i dowódców wojskowych. Autor nie ogranicza się jednak do omawiania tylko roli przywódców, pamiętając, że historię tworzą masy. Uwzględnia poglądy nurtujące w poszczególnych społeczeństwach, a w przedstawieniu działań wojennych kładzie główny nacisk na postawę szeregowych żołnierzy i marynarzy.

Formalnie przyczyną wojny krymskiej były zaborcze dążenia Mikołaja I w stosunku do państwa tureckiego. Nie przecząc temu bynajmniej Tarle rozprawia się z tezami historiografii angielskiej, usiłującej wykazać, jakoby polityka brytyjska dyktowana była wtedy wyłącznie troską o ratowanie Porty Ottomańskiej od zagłady. Wykorzystując ciekawe materiały archiwalne autor udowadnia, że niemniejszą winę za wybuch wojny ponoszą rządy angielski i francuski, które popychały zaślepionego wieloletnimi powodzeniami cesarza rosyjskiego do agresji przeciwko Turcji, aby wykorzystać zarysowujący się konflikt dla złamania potęgi Rosji i podporządkowania swym wpływom całego Bliskiego Wschodu.

Mikołaj był dobrym dyplomatą, ale jego despotyczny system wychował współpracowników, którzy raportowali mu tylko to, co przyjmowane było z zadowoleniem przez groźnego samodzierżcę. Cesarz nie zdołał więc zauważyć zmian dokonywających się na arenie międzynarodowej, wierzył do końca w przyjaźń Austrii i Prus, brał za dobrą monetę oszukańcze posunięcia Francji i Anglii, co doprowadziło do całkowitej izolacji politycznej Rosji w przededniu konfliktu.

Niżej wszelkiej krytyki działali po rozpoczęciu wojny naczelni wodzowie rosyjscy — Paskiewicz, Mienszykow i Gorczaków, którzy zaprzepaścili atuty świetnego ducha bojowego i męstwa żołnierzy rosyjskich oraz wybitnych zdolności strategicznych pozostawianych na drugorzędnych stanowiskach dowódców — admirałów Nachimowa i Korniłowa czy genialnego fortyfikatora Totlebena. Wszelkie możliwości uzyskania sukcesów taktycznych i strategicznych zostały zmarnowane przez błędy, będące konsekwencją ówczesnych stosunków politycznych w kraju.

Analizując działania wojenne koalicji antyrosyjskiej Tarle dochodzi do przekonania, że znacznie bardziej celowe od desantu na Krymie byłoby przeprowadzenie większej operacji na Bałtyku, z ewentualnym desantem zagrażającym bądź Petersburgowi, bądź mającym na celu wywołanie powstania w Polsce lub w Finlandii. Drugą groźną dla Rosji możliwością było przeprowadzenie operacji wojskowych na Kaukazie. Projekty takie zostały uniemożliwione przez różnice poglądów i celów między sojusznikami. Odpowiadały one zamierzeniom Anglików, lecz Francja nie chciała dopuścić do zbytniego wzmocnienia się swego partnera brytyjskiego, a Napoleon III myślał przede wszystkim o ugruntowaniu swej dynastii przez efektowny sukces zewnętrzny. Nie chodziło mu o całkowite rozbicie Rosji, z którą zamierzał zawrzeć sojusz po zakończeniu wojny.

Najobszerniej omawia Tarle słynną obronę Sewastopola. Kwestionuje gloryfikowane na ogół zatopienie floty rosyjskiej na redzie sewastopolskiej — dokonane w celu niedopuszczenia nieprzyjaciela do portu i zwiększenia początkowo bardzo słabego garnizonu załogami zatopionych okrętów wojennych. Twierdzi on, że forteca była ze strony morza broniona bateriami, a doskonała flota czarnomorska mogłaby jednak odegrać poważną rolę atakując transporty zaopatrzeniowe nieprzyjaciela. Przyznaje jednak, że zwolennikiem zatopienia floty czarnomorskiej był główny bohater obrony Sewastopola — admirał Nachimow, jeden z największych marynarzy w historii Rosji. Gdyby nie Nachimow i jego kolega admirał Korniłow, Sewastopol byłby zdobyty już zaraz po desancie sojuszników na Krymie, gdyż głównodowodzący książę Mienszykow odnosił się z wielkopańską obojętnością do losów twierdzy.

Poruszając sprawę śmierci Mikołaja I autor przychyla się raczej do zdania, że nie popełnił on samobójstwa, lecz umarł z przeziębienia. Tarle podkreśla, że wersji o otruciu się nie można niczym udowodnić. Wykazując jednak kłamliwość komunikatu oficjalnego i przytaczając różne głosy ludzi, którzy znali dobrze stosunki na dworze rosyjskim, pozwala nadal wierzyć w szerzące się wówczas pogłoski, iż cesarz popełnił samobójstwo w obliczu nieuniknionej klęski swej polityki.

Ze źródłowych badań Tarlego wynika, że nawet w bardzo ciężkiej sytuacji międzynarodowej spowodowanej groźbą wystąpienia zbrojnego Austrii, kampanie wojskowe i obrona Sewastopola miały szanse powodzenia, gdyby prowadzone były bardziej sprawnie i energicznie. Koła kierownicze z nowym cesarzem Aleksandrem II na czele były jednak przeciwne kontynuowaniu wojny przewidując, że na drodze dyplomatycznej uda się wykorzystać rozbieżności istniejące między Francją i Wielką Brytanią. Rachuby te nie zawiodły, gdyż na kongresie pokojowym w Paryżu delegacja rosyjska uzyskała warunki bardzo dogodne, poza bolesnym dla dumy narodowej zakazem utrzymywania floty wojennej na Morzu Czarnym. Powodzenie to zostało zresztą w dużym stopniu ułatwione ostatnim zwycięskim akordem w działaniach wojennych w postaci zdobycia przez Rosjan potężnej fortecy tureckiej Kars na Zakaukaziu.

W pracy swej autor porusza parokrotnie sprawę polską na tle wojny krymskiej. Wywody jego są na ogół zgodne z wynikami badań profesora Handelsmana, ujętymi w trzecim tomie jego znanej monografii o Adamie Czartoryskim. Ani rząd brytyjski, ani Napoleon III nie brali zupełnie pod uwagę odbudowania państwowości polskiej, gdyż utrudniłoby to im tylko wciąganie Austrii i Prus do koalicji antyrosyjskiej. Pewne demonstracyjne słowa czy gesty (formowanie oddziałów polskich w Turcji) służyły tylko dla wywierania nacisku i szantażu nie tylko w stosunku do Rosji ale i Austrii. Poza tym straszenie powstaniem polskim miało na celu zmuszenie Rosji do utrzymywania w Królestwie Polskim możliwie najsilniejszej armii, co utrudniało przerzucanie dostatecznych posiłków na Krym.

Dzieło akademika Eugeniusza Tarle o wojnie krymskiej jest wysokiej klasy monografią historyczną, zawierającą ostatnie słowo nauki o tej karcie dziejów XIX wieku. Jest to jednocześnie wielki hymn pochwalny na cześć patriotyzmu, męstwa i poświęcenia żołnierza rosyjskiego, który fatalnie dowodzony, okradany przez swych oficerów, źle żywiony i ubrany, pozbawiony stojącej na poziomie broni i wszelkich urządzeń sanitarnych, zdobywał się na akty prawdziwego bohaterstwa w obronie swej zagrożonej ojczyzny.

Szymon Dereń

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 6 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; tel. 8-60-11 (16). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wielkodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5
Zam. Nr 321
B-6-130021

Polska ekipa na V Międzynar. Konkurs im. Fr. Chopina

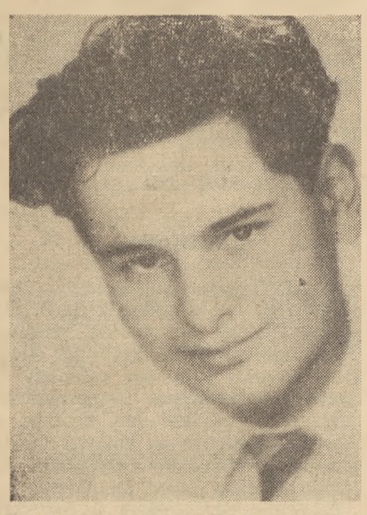

Andrzej Czajkowski

Danuta Dworakowska

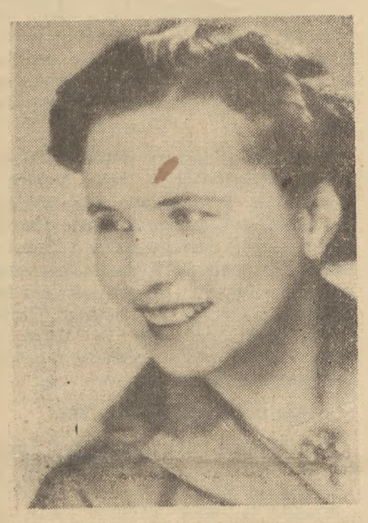

Lidia Grychtołówna

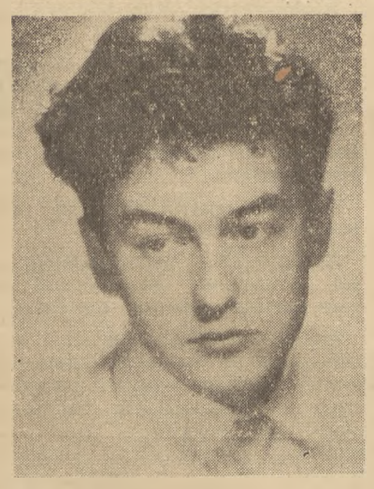

Adam Harasimowicz

Tadeusz Kerner

Edwin Kowalik

KONRAD EBERHARDT

Szkice francuskie (3)

KRAJOBRAZ BYWA CIERPIENIEM

„Począwszy od tego dnia, gdy już pierwszy grób został wykopany — zacząłem szukać odblasku śmierci na twarzach moich towarzyszy, w brzemiennej wadze czasu, w kolorze nieba, w zarysach krajobrazu..."

„CZAS umarłych" Pierre Gascara jest wielką powieścią małego rozmiaru o śmierci, o cierpieniu ludzkim, o grozie faszyzmu — mimo iż mówi się w niej wiele o lesie, o kwiatach, o kolorze nieba i malarskich walorach pejzażu. Jest jedną z najgłębiej wdzierających się w pamięć i odczucia odbiorcy książek, chociaż nie znajdziemy w niej scen „obozowych", szarpiących nerwy czytelników, przykładów esesmańskiego sadyzmu i zezwierzęcenia, nie dochodzi z jej kart woń krwi. Gdzieś, na drugim biegunie, w odniesieniu do tego dziwnego utworu znalazłyby się polskie opowiadania obozowe Borowskiego i Andrzejewskiego, przepojone wielokrotnie brutalnym autentyzmem; bliższy byłby mu natomiast Adolf Rudnicki. U Gascara międzynarodowy obóz koncentracyjny w Brodnie na Wołyniu widziany jest przez matową szybę, z dużego dystansu, który nie pozwala rozróżnić poszczególnych fragmentów, lecz całość jedynie, wkomponowaną w ścianę lasu i szarą płaszczyznę pól... Rzadko zresztą akcja „Czasu umarłych" wchodzi na właściwy teren obozu, niemal przez cały czas widzimy go z perspektywy obozowego cmentarza, rozciągającego się na skraju lasu. Dwóch Francuzów, pod strażą, zajmuje się tutaj wykopywaniem grobów, zasypywaniem ciał i zasadzaniem kwiatów. Na cmentarzu rosną bowiem anemony, bratki i margeritki. Na gałęziach śpiewają ptaki. W górze otwiera się niebo o zmiennych barwach. Ziemia pochłaniająca zmarłych i rozciągające się nad nią wczesno-jesienne niebo — oto dwie granice, dwa antypody, między którymi rozgrywa się tragedia.

JEŻELI ktoś narzeka na „zmierzch" czy też „upadek" współczesnej literatury francuskiej, twierdzi, że cała jej wielkość należy już bezpowrotnie do przeszłości — należy rzucić mu, oprócz innych, właśnie nazwisko autora omawianej książki, laureata nagrody Goncourtów (r. 1953) za zbiór nowel *„Les bêtes"* („Zwierzęta") i opowieść *„Le temps des morts"* („Czas umarłych"). Głównie ten ostatni utwór, skończone arcydzieło liczące zaledwie 90 stron druku, może wziąć na siebie trud walki o honor współczesnego pisarstwa francuskiego. Ta raczej nowela niż powieść, wyrosła z najbardziej urodzajnych pokładów kultury francuskiej, prostotą i jasnością stylu, oszczędnością środków wyrazu doprowadzoną do granic możliwości wydaje się nawiązywać do wielkiej tradycji wieku XVII i XVIII. Gdy pani de Lafayette pisała swą *„Księżnę de Clèves"* lub Vauvenargues dokonywał obrachunków swego życia — starali się zamknąć swe myśli w zdaniach równie precyzyjnych, oszczędnych, surowych, jak i te. Lecz swoją pasją moralną i „zapleczem filozoficznym" „Czas umarłych" należy niewątpliwie do naszej współczesności. I z połączenia tego powstał utwór najwybitniejszy w dotychczasowym dorobku pisarskim Gascara, krystalicznością stylu, kondensacją myśli i obrazów przerastający jego poprzednie pozycje: *„Les meubles"* („Meble" — nowele), *„Le visage clos"* („Zamknięta twarz") oraz *„Les bêtes"* („Zwierzęta"). Lecz nie zajmuje on w dorobku Gascara pozycji wyjątkowej, osamotnionej, przeciwnie, wydaje się być podsumowaniem jego dotychczasowych doświadczeń literackich, wyciągnięciem wniosków z własnych poszukiwań intelektualnych. Podobna jest myśl obu tych dzieł, wspólny jest dla nich główny motyw: cierpienia i śmierci. W „Zwierzętach" rozgrywany on jest poprzez ogromną metaforę, skonfrontowanie świata ludzkiego ze światem istot niższych w hierarchii Stworzenia, jaką niegdyś posługiwano się w bajkach — w „Czasie umarłych" pojawia się bezpośrednio.

Cierpienie i śmierć — oczywiście. Ale może należałoby się odwołać do jeszcze bardziej ogólnej zasady wyznaczającej kierunek sformułowań myślowych Gascara, do naczelnego zagadnienia jego twórczości, którym jest właśnie fenomen i s t n i e n i a. Nie jego przejawy zewnętrzne, zjawiska i kreacje, ale dotarcie do głębokiego nurtu e g z y s t e n c j i łączącej wspólną nicią ludzi, zwierzęta i rośliny. Na tej płaszczyźnie ludzie i zwierzęta są sobie równi i równocześnie najbliżsi — gdyż pojawiają się na świecie, cierpią i giną. Różni ich nieskończenie wiele zasadniczych cech, ale łączą niemniej podstawowe zjawiska: życia i cierpienia. Koń krwawiący pod razami bata, bydło płaczące w rzeźni w oczekiwaniu na nóż — czyż nie jest równie nieświadome w swym cierpieniu, jak np. dziecko ginące w komorze gazowej? „Łączy nas życie, cierpienie i umieranie" — mówi autor „Zwierząt". Teza niewątpliwie ryzykowna, można się o nią spierać — ale jakże wspaniały pretekst pisarskiego działania! Dzięki niej właśnie powstało opowiadanie *„Les chevaux"* („Konie"), małe arcydziełko współczesnej noweli europejskiej. Przyjęte w niej przesłanki myślowe wyjaśnia Gascar na końcu całego tomu: „Napotkać możemy szalonego konia, wściekłego barana, mądrego szczura i wiele innych jeszcze zjawisk, dzięki którym otwiera się przed nami zwierzęce piekło; w zdumieniu łączącego nas braterstwa odkrywamy tam naszą własną, cierpiącą twarz jak w skrzywionym zwierciadle..." Braterstwo w cierpieniu? Nie, to tylko złuda — w istocie cierpimy i umieramy samotnie — zarówno ludzie, jak i zwierzęta. W tym punkcie Gascar nie odbiega w swych poglądach od egzystencjalistów. Rozminie się z nimi znacznie później.

W „Koniach", wykorzystując ową zasadę „skrzywionego zwierciadła", tworzy wielką wizję końskiego obozu koncentracyjnego. Jest rok 1939, wojna trwa już kilka dni, do jakiegoś zakątka Francji, na zapleczu frontu, żołnierze ściągają konie z rozbitych oddziałów, z opuszczonych gospodarstw, konie bezpańskie, „wojskowe" i cywilne. Liczba ich dochodzi do ośmiuset, żołnierze zamykają je w wielkich szopach. Pożywienia jest bardzo niewiele. Niezbyt miłą funkcję brygadzisty tego zwierzęcego tłumu otrzymuje niejaki Peer — ma być to dla niego kara za niesubordynację. Konie rekrutują się ze wszystkich środowisk, są wśród nich wypieszczone okazy o cienkich, drżących pęcinach i zapracowane, proletariackie chabety o osiwiałych grzywach, araby i perszerony, wszystkie stłoczone razem w zimnych szopach, chore i wygłodniałe. I tutaj zaczyna się „końskie piekło". Zwierzęta ogarnia stopniowo lęk i bunt, histeria i szaleństwo lub apatia. Umierają dziesiątkami. Wreszcie sam Peer zostaje wciągnięty w obręb tego pie-

Pierre Gascar

kła. „Cierpienie jest demoralizującą i niszczącą siłą" — zdaje się mówić autor. Bo oto Peer porwany falą cierpienia ośmiuset bezradnych istnień — przeradza się w kata, sam zaczyna się nad nimi znęcać. Jest tu coś z nastroju „Św. Juliana Szpitalnika" Flauberta, w której to noweli bohater mordował dziesiątki zwierząt w czasie polowania, gdyż ciche konanie jednych podniecało go do zabijania następnych. Nie wiadomo dokładnie, czy Peer kończy obłędem. Pewnej nocy rozlega się jego krzyk: „Otworzyć wszystkie stajnie z rozkazu kapitana". Rozbudzeni żołnierze śpiesznie wykonują rozkaz, którego w istocie nie było. Ogromna, spieniona, końska rzeka poczyna się wylewać ze stajni przed siebie. Nie ma już koni ślepych i kulawych, chorych i umierających — tylko wielka, dążąca naprzód z siłą burzy masa żywych stworzeń, wypełniająca noc łoskotem — ku „nieznanej światłości". Czy ma być nią wolność? Na tym nowela się kończy — Peer, koński stróż, znika, zostaje po ośmiu dniach nieobecności uznany za dezertera.

W innym opowiadaniu („Szkarłatne życie") znajdujemy odmienny aspekt tego zagadnienia. Oto poczciwy, prowincjonalny rzeźnik, pan Mourre, właściciel małej, prywatnej rzeźni i jego czeladnik, Olivier, adept tego pożytecznego zawodu... Zwolna wnika on w arkana rzemiosła: jak przygotowywać zwierzę pod nóż, jak je potem oprawiać. Małego chłopca praca ta, budząca być może w innych uczucie zazdrości — napełnia irracjonalną odrazą, budzi wewnętrzny sprzeciw... Lecz oto w miasteczku otwiera się miejska rzeźnia i zakład prywatny pana Mourre musi ulec likwidacji. Rzeźnik, chcąc ratować swoje interesy, zamierza od razu, w nocy, zabić za miastem wszystkie posiadane zwierzęta, aby nie oddać ich do miejskiego zakładu. O zmroku wyrusza więc auto, wypełnione tym, co u nas zwykło nazywać się „żywcem". Mały Olivier siedzi wewnątrz i czuje, jak przez stłoczone zwierzęta przebiega dreszcz lęku, rośnie przeczucie grożącego im losu i zapada nagle trwożna cisza. Wreszcie wóz zatrzymuje się w zaroślach, wokół niego roztacza się ciemność, przerwana jedynie światłami reflektorów. Zwierzęta schodzą z auta na tę nocną egzekucję i nagle zaczynają płakać; zjawisko podobno w rzeźniach dobrze znane. I wtedy Olivier nie wytrzymuje, zaczyna uciekać potykając się o kamienie... *„Dieu, faites, qu'on ne tue jamais plus les moutons!"* — Boże, spraw, aby nie zabijano już więcej baranów... — modli się wewnętrznie chłopiec.

NIE wszystkie z pozostałych nowel dorównują tym dwom zwięzłością i siłą wyrazu. Lecz układ wspólnego tomu wydanego przez Gallimarda, gdzie „Czas umarłych" następuje po „Zwierzętach", jest zupełnie logiczny: po wielkich przenośniach następuje „uderzenie wprost". I chociaż modlitwa małego Oliviera tutaj również nie traci swej mocy — pod warunkiem, że wykreślimy w niej wyraz „barany" — to jednak główna myśl pisarza została poważnie rozszerzona i pogłębiona.

„Kto wie? Moment śmierci nie ma może końca — odpowiedziałem myśląc o symbolu złamanej gałęzi. — Może nigdy nie przestaniemy oddalać się, porzucać tego, co było życiem i co w głębi nocy jest równie wieczne, jak cierpliwość gwiezdnych ciał. Nie ma być może równości wobec śmierci, tak jak nie istniała w życiu. Każdy umiera we własnym kącie i pozostaje we własnym kącie. Każdy jest samotny i obcy. Każda śmierć odnawia śmierć.

— Ja wierzę w Niebo i w państwo niebieskie, gdzie nie dociera już echo życia — odparł Ernst łagodnie — i w pokój Pański...

— Nie mogę i nie chcę wierzyć — zawołałem — że ci, których morduje się tutaj, przestają krzyczeć tam..."

Niekonsekwencja? Przecież egzystencjaliści nie uznawali sensu protestu, a w pierwszej części tego cytatu Gascar zdaje się iść wiernie torem ich myśli. Lecz o to właśnie chodzi. I w książce Gascara zauważamy przełamywanie się wpływów „obciążonego" egzystencjalizmu, postawy jego czołowych wyznawców, którzy postawili sobie za punkt honoru generalne umycie rąk od współczesności. Tymczasem „Czas umarłych" jest wielkim protestem i to nie skierowanym donikąd. Nie chodzi w nim już o ludzi „w ogóle", o ludzi widzianych poprzez zwierzęce przenośnie — chodzi w nim o Francuzów zamkniętych w obozie koncentracyjnym, o Żydów wymordowywanych w pobliżu, o Niemców wreszcie, tych „złych" i tych „dobrych". Być może fakt, że autor korzystał w tym wypadku z własnych wspomnień, zaważył nad wymową tego utworu, ale nie narzucił mu bynajmniej obcego pisarstwu Gascara autentyzmu, przewagi faktów nad tkanką intelektualną. Poszczególne sylwetki ludzkie, nakreślone kilkoma zaledwie kreskami, pojawiają się na moment jak na ekranie i znikają.

Wraz z postacią pastora w mundurze, Ernsta, wkracza zagadnienie „sonnenbruchizmu". Ernst zdaje sobie sprawę ze zbrodni popełnianych przez swoich rodaków i współwyznawców, solidaryzuje się wewnętrznie z więźniami — ale jest słaby. Smutna, beznadziejna miłość łączy go z młodą Żydówką, Lidią, zatrudnioną w obozie. Lecz jego pomoc i skłonność ku niej stają się zgubą dla dziewczyny. I jego wreszcie, płaczącego z niemocy, pochłaniają szeregi karnej kompanii. „Chcę ci powiedzieć, Francuzie — mówi gorzko stary Żyd, Lebowicz — Niemcy nie pomagają nikomu, słyszysz, nikomu... Gdy chcą komuś pomóc, to wtedy nie mogą tego zrobić..." Lidia ginie. Nie wiemy nawet kiedy. Słychać tylko krzyki ludzi z przejeżdżających pociągów to-

(Dokończenie na str. 7).

ADA BORKOWSKA

Wierzby rosną nad Jang-tse-Kiang...

NIEWIELE czasu dzieli nas od chwili rozpoczęcia w Warszawie V Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego.

Jest rzeczą oczywistą, że nie tylko tak wielka impreza jak Międzynarodowy Konkurs może być okazją do refleksji na temat Chopina, na temat jego wielkiej muzyki. Mamy możliwość stykania się z jego dziełem bezustannie — nie tylko „od święta", ale niemal „na codzień"; jest ono dla nas naprawdę chlebem powszednim, który się nie przejada, który zawsze smakuje i zawsze jest odżywczy. Jednakże właśnie monumentalność tej imprezy skłania nas do głębszego zastanowienia się: jaka jest istota tego, co jest jej przyczyną; jak niepojętą w swym ogromie wartością jest to, co mobilizuje ludzi do podjęcia inicjatywy takich imprez.

Są one hołdem złożonym wielkości człowieka oraz niewytłumaczalnej tajemnicy jego geniuszu; są wyrazem ludzkiej tęsknoty za pięknem, która zrodziła umiłowanie najdrobniejszych jego przejawów, a co dopiero tych jego form, które sięgają zda się absolutnej doskonałości; są wreszcie owe imprezy radosnym korzystaniem z tego piękna, którego tak hojnym rozdawcą stał się jeden człowiek wobec tylu następujących po nim pokoleń.

Mając świadomość zbliżającego się już V Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, a jednocześnie cofając się pamięcią o przeszło sto lat łatwo dostrzegamy, że Warszawa jest tu terenem jednego z wielu paradoksów historii.

ROK 1830 — młodziutki, zaledwie dwudziestoletni Fryderyk Chopin opuszcza Warszawę: zbiega się to z pierwszymi sygnałami wybuchu powstania listopadowego. Legitymacją jego geniuszu są między innymi dwa koncerty fortepianowe, które ma już w swojej tece kompozytorskiej. Nie wszyscy jednak współcześni uznali „ważność" tej legitymacji: kiedy ojciec Fryderyka zwrócił się do Rządu z prośbą o przyznanie jego synowi stypendium na wyjazd „do obcych krajów" — Francji, Niemiec, Włoch — aby tam mógł rozwinąć swoje zdolności muzyczne, odpowiedzią na to była... kategoryczna odmowa. „Fundusze publiczne nie mogą być przeznaczone (pierwotnie napisano: marnowane, co zostało jednak potem przekreślone) na kształcenie tego rodzaju artystów".

W sto lat później Warszawa zaczęła przyjmować co kilka lat w swych murach dziesiątki (a potem już setki) młodych artystów z całego świata wyróżniając tych spośród nich, którzy zdolni są wydobyć najwięcej piękna i prawdy z dzieła Chopina.

Historia wymierza tu niewątpliwie sprawiedliwość nierozumnemu i bezdusznemu potraktowaniu nieśmiałej prośby Mikołaja Chopina. Wydobywa i utrwala wartości istotnie wielkie, usuwa w cień i skazuje na zapomnienie to, co nie jest godne pamięci.

Im częściej — przebiegając historię — uświadamiamy to sobie, tym silniejsza staje się nasza wiara w jej głęboką mądrość, w jej umiejętność trafnego i mądrego selekcjonowania rzeczy i zjawisk. Wiemy na pewno, że to, co istotnie wartościowe, nie zawieruszy się w zamęcie wieków, nie zginie, ale przeciwnie — będzie żyło ciągle nowym życiem; temu zaś, co jest zaprzeczeniem wartości, życie zostanie przez historię odebrane — i odebrana możliwość oddziaływania.

Banałem już stało się twierdzenie, że właśnie nam, Polakom, Chopin jest szczególnie bliski. Należałoby się zresztą zastanowić nad tym, czy można uważać to twierdzenie za absolutnie prawdziwe. Niewątpliwie jest ono prawdziwe w pewnej mierze: w tej, w jakiej łączy nas z Chopinem więź wspólnej przynależności narodowej, w jakiej mamy możliwość bezpośredniego kontaktu z ziemią, na której upłynęło jego dzieciństwo i młodość, za którą okrutna tęsknota żżerała potem jego i tak wątłe siły. Trzeba natomiast być bardzo ostrożnym w stwierdzeniu, jakobyśmy my najlepiej i najgłębiej rozumieli jego muzykę.

Przypomina mi się tu fakt, który wyraźnie nakazuje nam zastanowić się nad tym naszym zbyt „nacjonalistycznym" stosunkiem do muzyki Chopina: otóż pewien muzyk japoński, zapytany, który z kompozytorów europejskich jest mu najbliższy, odpowiedział, że Chopin, gdyż jest on ze wszystkich najbardziej... japoński.

Tutaj także mam chęć podzielić się niezwykłym wprost wrażeniem, jakie wywarł na mnie słyszany niedawno recital chopinowski młodego Chińczyka, kandydata na Konkurs. Chopin, jakiego on pokazał, nie był Chopinem granym jakoś „po chińsku", nie był grany nieudolnie czy też zaledwie poprawnie — był to Chopin, jakiego naprawdę nie często dają nam słyszeć nawet pianiści polscy — Chopin odczytany w całej swej prawdzie i wielkości. Nie chodzi oczywiście o to, że nauczono go tu w Polsce „rozumieć" Chopina — to byłoby możliwe jedynie w odniesieniu do jednej czy drugiej frazy muzycznej. Chodzi o to, że on sam tak Chopina rozumie — nikt go tego nie „nauczył". Do tego, aby w sposób niemal genialny wykonać Etiudę rewolucyjną, nie potrzebował uczyć się historii Polski ani też wczuwać się w narodową tragedię powstania listopadowego. Nie wyobrażał sobie huku dział ani barykad na ulicach Warszawy, ale po prostu — odczytał treść muzyczną tego utworu.

Bardzo łatwo przypisujemy różnym narodowościom równe szanse w rozumieniu na przykład Beethovena, Liszta — a już na pewno i przede wszystkim Bacha — natomiast prawo do Chopina wyraźnie uzurpujemy sobie. Czy jest to jednak naprawdę słuszne?

Z pewnością ten Chopin, z którego wspomnieniem łączy się dworek w Żelazowej Woli czy warszawskie Krakowskie Przedmieście, kościół św. Krzyża, Pałac Raczyńskich, Chopin, jakiego znamy z jego listów — tych figlarnych z okresu młodości i tych głęboko tragicznych z okresu „francuskiego", z których przebija wzmagająca się ciągle tęsknota za krajem, rodziną, przyjaciółmi, za każdym kamieniem Warszawy i za „głowiastymi" wierzbami pól mazowieckich — ten Chopin jest rzeczywiście szczególnie n a s z, ten jest nam szczególnie bliski.

Natomiast Chopin koncertów, sonat, etiud, a nawet Chopin mazurków — jest własnością całego świata. Jeżeli grozi nam tendencja do przypisywania sobie jakichś nadzwyczajnych uprawnień do najwłaściwszego rozumienia jego muzyki i do najgłębszego jej przeżywania, to powinniśmy z nią walczyć. Oddaliśmy przecież Chopina całemu światu, a właściwie to on sam się oddał „podnosząc" — jak mówił Norwid — „ludowe do ludzkości". Elementy naszej odrębności narodowej nie są w jego dziele tym, co nas od reszty świata różni w jakimś partykularystycznym znaczeniu, ale przeciwnie — umożliwiają nam one nawiązanie z całym światem łączności. Są cegiełką utrzymującą spoistość wielkiego gmachu kultury ogólnoludzkiej.

Świadomość, że mamy w tym gmachu swój wkład, daje nam prawo, co więcej — nakłada na nas obowiązek walki o to, aby nie było już nigdy na świecie ludzi, których zbrodnicza siła pozbawiła możności korzystania z dorobku kulturalnego całej ludzkości. Obowiązkiem naszym jest nie dopuścić do tego, aby siła ta jeszcze kiedykolwiek w historii uzyskała możliwość działania.

Ada Borkowska

Miłosz Magin

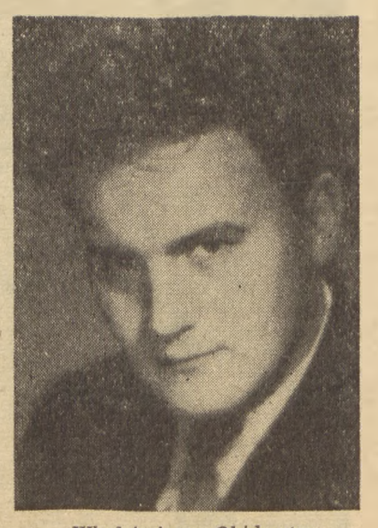

Włodzimierz Obidowicz

ZBIGNIEW CZAJKOWSKI

rys. BARBARA JONSCHER

NOC ŚWIĘTEGO UBALDA

Emilio

EMILIO jest zbyt leniwy, aby poruszyć ręką i opędzić się od much, które skuszone winem uwijają się rojem wokół jego puszystej brody. Majowe słońce wtapia mu w przymknięte powieki rozleniwiające ciepło, a w rozchylone usta — dziurawy uśmiech. Starcze, pokręcone członki rozkładają się na rozpalonych płytach rynku tak rozkosznie, jakby czuły pod sobą miękki materac. Nawet twardy podgłówek — stopień do Ristorante — do najwytworniejszego lokalu w Gubbio — nie jest w stanie pozbawić Emilia zadowolenia. Emilio bowiem marzy...

Brzęczenie spojonych winem much miesza się z dalekim odgłosem wrzawy, dochodzącej z piłkarskiego boiska, a z góry, z Monte Foce, której stromy szczyt rzuca na miasto trójkątny cień, spływa cienki głos klasztornego dzwonka. Zapewne jeszcze wczoraj jedno jego drgnienie rzuciłoby Emilia, jak przystało na „etatowego" żebraka, na kolana. Dziś jednak wszystko jest mu obojętne. Nie czuje nawet lęku przed padrone Giuseppe, który zwykł go płoszyć sprzed Ristorante brutalnym kopniakiem w zadek.

Emilio odczuwałby dzisiaj nawet pełną rozkosz, gdyby Giuseppe poczęstował go nogą. Byłby to bowiem kopniak ostatni... Jak słodko jest powtarzać słowa: „ostatni kopniak... ostatnia jałmużna... ostatni pacierz za głupią signorę Salvatore i jej męża pijaka... za wygrany mecz w Piedimonte i za przegrane wybory Democrazia Cristiana... Za wszystkie grzechy mieszkańców Gubbio, za ich nigdy niespełnione marzenia i nieskończone pretensje... — O dobry, święty Ubaldo, opiekunie żebraków — modli się Emilio — spuść z góry swą nogę i kopnij cały ten kram... Dopomóż tylko swemu wiernemu Emilio, który ma jedną, jedyną szansę posiadać mały, malutki dom, piccola casa, i być choć raz, na krótko, człowiekiem...

Emilio żegna się szybko i sięga nerwowo za pierś. Tam maca szeleszczący papierek, który ma być kluczem jego szczęścia. Chciałby nasycić nim chciwy wzrok. W chwili gdy ma już wyciągnąć go zza piersi, szary cień staje w słońcu. Emilio nie otwiera oczu i kuli się całym ciałem, gdy nagłe szarpnięcie za brodę cuci go z marzeń i lęku.

— Mario... — szepce z westchnieniem ulgi. — Przeraziłeś mnie, Mario...

Wielki cień pochyla się nad żebrakiem.

— Już czas, patriarcho...

Emilio czuje, jak rozprażona słońcem ziemia stygnie mu pod stopami.

— A jak mnie przykaraulą, Mario?... Porca miseria, porca miseria — szepce zbierając stare gnaty.

— Boisz się?

— Boję się, okrutnie boję się, Mario... Ale niech tam... idę...

W tej chwili w klasztorze świętego Ubalda uderza wielki dzwon. Emilio przyklęka na kolano i żegna się...

— Buono, santo Ubaldo... pobłogosław twojemu słudze... santo Ubaldo... daj mi raz popróbować szczęścia...

Nagle przerywa modlitwę i podnosi na Maria chciwe oczy:

— Mario... czy za pięćset dolarów można kupić spokój... cichy kąt na starość?

Mario jest cynikiem i lubi się droczyć ze starcem.

— Ależ tak, patriarcho... Nie tylko dom, ale i kawałek pryczy w kącie, złotą kratkę w oknie i osobnego służącego z kluczami... No, ale idź już stary! Braciszkowie dzwonią!

Mario

MARIO ma jeszcze czas do działania. Właściwie nadmiar czasu, który mu towarzyszył od pewnego czasu, stał się przekleństwem jego życia. Z wolnego czasu się nie wyżyje, nie mówiąc już o wykarmieniu starej matki i małego, czarnego jak nędza braciszka.

Giuseppe jest dobrym psychologiem i umie ocenić jego wartość. Mario, jego zdaniem, ma dwa poważne felery; jest po pierwsze malarzem, co w pojęciu szynkarza odbiera mu walor uczciwego człowieka, a ponadto... Giuseppe tę drugą cechę malarza akcentował dobitnie, kręcąc z powątpiewaniem głową i unosząc w górę rękę, jakby obrywał z kiści palące mandarynki:

— Mario? Mario ma w głowie „tutti frutti..."

Oznaczało to, że poglądy malarza były zbyt liberalne, cierpkie jak kwaśna cytryna.

Mario jest ponadto nieszczęśliwym malarzem, nie włada bowiem lewą ręką. Jest to najbłahsza zresztą rana, jaką można było odnieść pod Benghasi. Znajomi krytycy i malarze głośno wyrażali swoją radość z tego wątpliwego szczęścia Maria.

— Pomyśl, na ciało świętego Ubalda, co za szczęście! Lewa ręka, no! Lewą ręką przecież nie malujesz... Wystarczy ci, aby podtrzymać tylko paletę...

Paradoks tego „szczęścia" polegał na tym, że Mario jednak był mańkutem. Na biegłe władanie pędzlem prawą ręką stracił cztery powojenne lata. W tym czasie matka jego wypluła prawe płuco, a braciszek Benedetto został uczniem Emilia. Gdy Mario nauczył się — o ironio — znów malować, okazało się, że nauka poszła na marne. Współczesne płótna nie mają bowiem w ogóle zbytu. Jedyni amatorzy sztuki we Włoszech, Amerykanie, szukają tylko ukrytych lub kradzionych Tycjanów, starych, poczerniałych płócien, a nie interesują się nowoczesnym malarstwem, ponadto takim, jakie uprawia Mario: nagie, obdarte dzieci, wyciągające ręce po chleb. Szczególną pasję wszczepił Mario właśnie w studium rąk: ręce, które grożą, ręce, które się łamią w rozpaczy, w ręce zwiotczałe zwątpieniem...

Giuseppe pierwszy zawrócił go z tej drogi:

— Zostaw te banialuki! Nie ma teraz czasu na podobne głupstwa. Żaden szanujący się człowiek nie spojrzy na twe bohomazy. Malujesz dzieci? Santa Madonna! Twój Benedetto to istny aniołek wśród tych głodomorów! Zasrane dzieci! Albo sto rąk wyciągniętych po chleb! Mamma mia — kto widział, żeby chleb w ogóle leżał na ulicy! Basta! Rzuć swój patyk i bierz się do prawdziwej pracy! Będziesz pracował u mnie!

Na czym polegała praca Maria — wiedział o tym tylko Emilio. Mario już dawno plunąłby szynkarzowi w twarz, gdyby nie nadzieja, która zawsze towarzyszy głupim i zakochanym. Nadzieja Maria tkwi za ladą baru Giuseppe. Jest to córka samego „padrone". Mimo pewnej sympatii, jaką darzy malarza, jest dość powściągliwa w swoich uczuciach. Corinna jest bowiem realistką i mimo, że lubi wysokich, przystojnych mężczyzn, którzy potrafią zdusić w ustach oddech pocałunkiem — trzeźwo patrzy na świat. Wie dobrze, że miłość bez miliona lirów nie przyniesie obojgu szczęścia. Za niższą cenę Corinna nie jest skłonna sprzedać swej urody, którą niejedni, pożądliwie wpatrując się w jej pełne kształty, taksują znacznie wyżej.

Czasem jednak los na przekór przepowiedniom uśmiechnie się i do ubogich.

Zaczęło się od tego, że pewnego wieczora zajechał na rynek amerykański samochód. Był to zwykły, wojskowy jeep...

Giuseppe

GIUSEPPE jak stary i wytrawny gracz od razu poczuł dobry kąsek. Dotychczas raczej rzadko zdarzało się, aby Amerykanie odwiedzali Gubbio, chyba że przypadkiem, „po drodze" z Bolonii lub Ancony do Rzymu, wpadali „rozruszać się" do miasteczka. Bazą takich turystów stawało się wówczas Ristorante, skąd urządzali wypady do miasta, w głąb uliczek i kamienic, kierując się wskazówkami i adresami padrone.

Ale w tym wypadku było coś szczególnego i Giuseppe wytężył wszystkie swe siły i zdolności, aby podołać czekającemu go zadaniu. Giuseppe nie jest zresztą zwykłym szynkarzem. Pozornie tylko niewiele się różni od przeciętnego właściciela traktierni. Podobnie jak jego koledzy po fachu, jest opasły, chciwy i sprośny, góruje jednak nad nimi — naturalnie w przekonaniu swoim i mieszkańców Gubbio — artystycznym intelektem, zrozumieniem piękna. Giuseppe uchodzi bowiem za miejscowego mecenasa sztuki: zna się, a raczej — mówiąc poprawniej — skupuje antyczne posążki, zdobiące wnętrza mieszkań gubbijskich „patrycjuszów", interesujące drobiazgi, wygrzebywane przez chłopców w ruinach rzymskiego cyrku, przyczerniałe płótna i starożytną, prawdopodobnie kradzioną po muzeach broń; w ogóle interesuje się wszystkim, co pokryte jest patyną czasu i co może uchodzić za „stare". Co z tym dalej robi — Bóg jeden wie. Wydaje się jednak, że uprawiając ten „intelektualny", jak go sam nazywa, proceder, nie kieruje się wyłącznie snobizmem i chęcią przejęcia mecenatu sztuki po ostatnim konsulu Gubbio, lecz raczej dobrym interesem. Traktierna stała się z czasem tylko szyldem, za którym schował się właściwy Giuseppe — pośrednik, lichwiarz, a w końcu nawet i polityk.

Podczas wojny utrzymywał ożywione stosunki z Niemcami. Złośliwi twierdzą, że gdyby wojna trwała jeszcze ze trzy lata, Giuseppe przehandlowałby do Rzeszy nawet resztki rzymskiego cyrku, które coraz głębiej zapadają się w gubbijskich winnicach. Obecnie Giuseppe stawia na innego konia — na Amerykanów. Trzeba przyznać, że interes wraz ze zmianą klienteli rozrósł się. W rękach Giuseppe małowartościowe na pozór przedmioty nabierają szczególnych cech, a przede wszystkim cech — towaru. Ta nieomylna umiejętność przemieniania starych obrazów, posągów i resztek świetności imperium i rzeczpospolitych w złoto, a raczej w dolary — zapewniła mu szacunek u wielu obywateli Gubbio.

Te szczególne cechy pozwalają mu zajmować czołową pozycję w mieście i okolicy i w pojęciu ludzi, dla których najwyższe uznanie rodzi się w kręgu niezwykłości, stanowi on nie mniejszą atrakcję niż ukryty w klasztornej szklano-srebrnej trumnie zasuszony, a w dodatku martwy święty Ubaldo...

Wysiadający tymczasem z jeepa Amerykanin nie wyglądał na „turystę". Był nieco przygarbiony, w okularach na nosie, w szerokiej, okrągłej czapce. Robił wrażenie zasuszonego grzyba. Okazał się jednak dość hojny już na progu Ristorante, rzucając do kapelusza Emilia zmięty, dolarowy papierek.

Giuseppe szybko zadysponował kelnerami. Niezwykły gość został wprowadzony do osobnego, wytwornego gabinetu, gdzie wstęp poza jednym padrone miała tylko Corinna.

Nachylając się nisko i nie bez widocznego trudu ze względu na tuszę, z uszanowaniem, lecz zarazem baczne obserwując gościa, padrone zaofiarował mu swe usługi:

— Signore capitano na pewno na inspekcji... — „Inspekcja" była słowem, którego Giuseppe używał zwracając się do samotnych wojskowych. Do towarzystwa złożonego z kilku wojskowych i towarzyszących im dam mówił: „państwo są w podróży", natomiast do grona wyłącznie wojskowego używał niezawodnego terminu: „specjalna misja". W tym wypadku „inspekcja" miała wyrażać widoczny szacunek, jak również zaproszenie do wyjaśnienia celu swego przybycia.

„Capitano" rozpiął kołnierz i wytarł zroszone okulary. Giuseppe starał się wyprzedzić go swą inicjatywą:

— Si, signore capitano... Gorący dzień, uff... słowa się topią w powietrzu. Ale zaraz i na to się znajdzie rada. Mniej dostojnemu gościowi poleciłbym źródlaną wodę, frigida aqua, chłodną jak dziewczęce usta, ale takiej osobie... — wydął wargi z należytym szacunkiem.

— Dla takiej osoby mam coś extra. Już się robi, ecco!

Klasnął w dłonie i w tej chwili Corinna, na wzór dziewcząt greckich, wniosła na głowie opleciony wikliną gąsiorek, Amerykanin skinął ręką na padrona i kazał mu usiąść.

— Przyjeżdżam z Bolonii... od signora Tonini... capito?

Padrone przełknął ślinę i rzucił okiem na Corinnę. Amerykanin nie był jednak tak ślepy i przychwycił przez okulary jego gest. Chwycił za rękę dziewczynę i posadził ją z drugiej strony.

— Niech zostanie... Ładna jest szelma... Córka? Nigdy bym nie uwierzył, że słoń może spłodzić Afrodytę... Ale do rzeczy, capito?!

— Capisco... — powtórzył bladymi wargami Giuseppe. Ten stary, amerykański grzyb budził w nim coraz większy niepokój.

Santo Ubaldo

NOC w górach zapada nagle... Czarny obłok wynurza się niespodzianie zza szczytu i nakrywa cieniem całą dolinę.

Emilio nie może sprawdzić ze swej kryjówki, czy jest jeszcze dzień, czy też już noc pochłonęła miasteczko. Wciśnięty głęboko w konfesjonale, klęcząc chwyta słuchem ostatnie dreptania zakonników, chrzęst zasuw i daleki, dochodzący przez okno śpiew:

„Besame, besame mucho..."

Kościół tonie w ciemności, jedynie przed głównym ołtarzem, u trumny świętego Ubalda, płonie nikłe światło. Do umówionego znaku pozostają długie godziny lęku. Dopiero teraz Emilio czuje wyrzuty sumienia. Nagle zdaje mu się, że niewidzialna ręka szarpie go ostro za brodę! Emilio cofa do tyłu głowę i skóra cierpnie mu na karku. Ktoś go mocno trzyma. Emilio unosi nieco kolana i wyzwala spod nóg koniec swej patriarszej godności. Wypadek ten dodaje mu śmiałości. Siada na miejscu kapłana i usiłuje przebić okiem ciemność. Na wprost konfesjonału toi wielki ołtarz. W mroku figury, podtrzymujące wyimaginowane przez artystę niebo, pęcznieją i ruszają się. Emilio przymyka oczy, lecz natychmiast je otwiera. Boi się zasnąć, nauczony już nieraz przykrym doświadczeniem. Ileż to bowiem razy postradał całodzienny zarobek uśpiony dostojeństwem odprawianej mszy i śpiewem zakonników!

Za oknem tęskny śpiew urywa się nagle, przerwany namiętnym chichotem, po którym zalega cisza... Emilio domyśla się, że niedługo już będzie północ... Jednak upływa jeszcze wiele minut, zanim u drzwi kościoła rozlega się lekki chrobot. Emilio prostuje się w konfesjonale czując, że jednak się zdrzemnął. Chce natychmiast zerwać się z miejsca, ale rozsądek nakazuje mu spokój. Czeka cierpliwie na ponowne chrobotanie. Potem cicho, jak widmo, podchodzi do drzwi i odsuwa zasuwę. Drzwi otwierają się, lecz żebrak oślepły od długiego mroku nie widzi w otworze nikogo.

— Mario? — szepcze Emilio.

— Psst... —

Mario nie jest sam, lecz dźwiga w zdrowej ręce malarską drabinę. Pod pachą ma ciemny, płócienny rulon. Narada trwa krótko, po czym dwa cienie wtapiają się w mrok kościoła.

Sprawa jest na pozór prosta. Chodzi o zamianę obrazu, który wisi w bocznym ołtarzu, pod kunsztownym firmamentem niebieskim. Dostać się doń można wspinając się po drabinie na pierwsze piętro spiętrzonych rzeźb, między postacie świętych i Ojców Kościoła. Poruszanie się w gęstej ciemności nie jest jednak łatwe.

Emilio z trudem dźwiga swe stare kości po drabinie. Posuwa się wolno, szukając oparcia dla bosych stóp. Czuje się niesamowicie, ocierając się o ramię świętego Jana, któremu niemal dorównuje wzrostem. Jeszcze nigdy nie był w takim towarzystwie niemych, lecz niemniej groźnych figur. Robi mu się słabo. Boi się stąpnąć dalej, ale Mario nie czeka. Szarpie go do przodu.

Pod stopami otwiera mu się mroczna przestrzeń kościoła, jaśniejąca coraz bardziej w stronę głównego ołtarza. Pośrodku, na podwyższeniu, srebrnym zygzakiem odbija światło wiszącej nad nią lampy szklana trumna. Emilio tyle już razy zanosił do sczerniałych, drobnych szczątków widniejących przez szkło, swe modły, że jest niemal za pan brat ze świętym Ubaldem. Wie doskonale, że święty nigdy nie odmawia prośbom ubogich. Jest jednak uparty w jednym: nie lubi obdarzać żebraków bogactwem. Emilio nie czuje jednak do niego z tego powodu żalu. Wie dobrze, że sam święty był najuboższym z ubogich i to go najbardziej dziwi.

Dlatego też wzdycha smętnie:

—Na biednego to każdy z nożem... Nawet świętym jest trudno zostać... A szkoda... Przynajmniej po śmierci stare gnaty miałyby dobre schronienie... szkło i srebro... procesje...

Mario znów się niecierpliwi. Wprawnym ruchem wykrawa nożem z ram obraz i teraz wolno odrywa płótno, które w niektórych miejscach przylepiło się do deski. Na puste miejsce wstawi się inne, jakiś stary kicz, który przyniósł z sobą.

Emilio nie wie, co przedstawia kradziony obraz. Musi być bardzo piękny, skoro kosztuje tyle forsy. Przymyka oczy, aby przypomnieć sobie, jak wygląda pięćset dolarów. Jeden dolar ma kolor zielony. Trzyma go troskliwie na piersiach. — Santa Madonna, pięćset zielonych papierków!

Opiera się o figurę z zatykającego go wzruszenia, lecz znów dreszcz przenika mu bose stopy. Czuje w swym ręku zimną dłoń. To święty Paweł ujął go łagodnie pod ramię.

— Santo Paolo... — szepce Emilio, lecz znów dostaje kuksańca od Maria.

— Psst... ktoś idzie...

Bonifazio

MARIO przysiada gwałtownie chowając się za jedną z figur, dla Emilia jednak nie starcza miejsca. Patriarcha zamienia się w tej chwili w drzewo i po raz pierwszy w życiu jest posągiem. Czuje jednak, jak serce rozsadza mu koszulę, a zimny pot spływa po plecach. Mario trzyma go kurczowo za spodnie. To ratuje żebraka przed upadkiem.

Od zakrystii słychać lekkie kłapanie, a równocześnie ściany i kolumny zaczynają chwiać się niespokojnym cieniem.

Emilio widzi, jak z mroku wyłania się brązowy habit zakonnika. Migocąca świeca sunie do grobu świętego Ubalda. Emilio poznaje po niewielkiej, ściętej brodzie i szczupłej postaci brata Bonifazia. Lęk żebraka przemienia się niezwłocznie w odrazę. Bonifazio bowiem ma lekkiego bzika. Wiedzą o tym nie tylko mieszkańcy Gubbio, ale i pątnicy z dalszych stron. Bonifazio był poniekąd konkurentem Emilia i wszystkich żebraków, gdyż zbierał podczas mszy ofiary na klasztor. Raz zdarzyło się, że cały woreczek szeleszczących lirów oddał samowolnie głupiej żebraczce. Od tego czasu padre Girolamo skierował Bonifazia do innej pracy. Bonifazio chodził potem uprawiać klasztorne winnice, gdy przyszło jednak do jesiennego rozlewu wina, potłukł w piwnicy cały zapas butelek, a następnie tarzał się w szkle i czerwonym winie. Przeor chętnie pozbyłby się głupiego braciszka, lecz któż zechciałby wziąć na swój kark pomyloną duszę?

Bonifazio klęczy przed szklaną trumną trzymając w ręku świecę i modli się. Twarz jego nie wydaje się teraz Emiliowi obłąkana. Raczej ma w sobie dziwny urok i dobroć, jakby spłynęła nań łaska szczęśliwości... Jest w tej chwili bardzo piękna, podobna do twarzy Chrystusa, modlącego się w Ogrójcu. Emilio bezwiednie zaczyna mamrotać pod nosem:

— Santa Maria, Mater Dei...

Mario słabo widzi ze swego miejsca, pociąga więc Emilia za połę.

— Co on robi? Śpi?

— Nie, modli się...

— ...?

— Teraz wstaje...

Emilio kurczy się, ile ma sił, gdyż wydaje mu się, że braciszek obraca się w stronę ołtarza. Oddałby teraz połowę spodziewanych dolarów, aby Bonifazio ich nie odkrył. Słyszy też szept Maria:

— Porca miseria... drabina... nie zdążyłem jej ukryć...

Emilio nie ma czasu spojrzeć w dół na drabinę, gdyż oślepia go blask świecy, silniejszy niż zwykle.

Bonifazio stoi pod ołtarzem i wodzi okiem po malowidle Madonny. Emilio widzi jego uśmiech i rozszerzone uwielbieniem oczy. Nie może znieść tego spojrzenia. Przymyka powieki i tamuje oddech. Staje się w tym momencie naprawdę piątą, drewnianą figurą nad ołtarzem; zdradzić go może jedynie łomot serca.

Bonifazio patrzy długo na Madonnę, potem obchodzi ołtarz kierując się do zakrystii. Emilio chce głośniej odetchnąć, gdyż dławi go tamowane powietrze. Nagle głośny łoskot niweczy ukrytą nadzieję. Mario ciągnie gwałtownie Emilia za spodnie, żebrakowi jest jednak już wszystko jedno. Wie, że został odkryci. Bije się z całych sił w piersi i nie śmie spojrzeć w dół na braciszka, który stoi nad przewróconą drabiną.

— Frate Bonifazio...

Zakonnik zdumiony podnosi do góry głowę. Nawet człowiek bogobojny musi się zdziwić, gdy przemawia doń figura. Emilio ze swą białą, długą brodą wygląda okazalej od szczupłych postaci świętych. W ręku Bonifazia drga świeca.

— Chi è?

— To ja, Emilio... żebrak z Ristorante... Nie poznajesz mnie, frate Bonifazio?

Bonifazio nie może zrozumieć, czego szuka o północy stary Emilio wśród figur ołtarza Madonny. Tym większe jest jego zdumienie, gdy z mroku wyłania się na górze jeszcze jedna postać.

— Mario...

Mario milczy. Jedyna rada, to skoczyć w dół na Bonifazia i zdusić w ręku drgającą ze wzruszenia grdykę braciszka. Emilio go jednak uprzedza.

— Frate... Zgrzeszyliśmy, frate...

Żebrak bije się tak serdecznie w piersi, że głuche dudnienie rozlega się po kościele.

— Chcieliśmy ukraść obraz, frate... Tak, ten nad Madonną... Wyjęliśmy go z ram...

Bonifazio dostrzega teraz pustą plamę nad ołtarzem i rozumie już wszystko. Zachowuje jednak dziwny spokój i patrzy na żebraka.

Emilio wpada na wspaniałą myśl. Kiwa w dół rękami jak przemawiająca figura.

— Zgrzeszyliśmy, frate... Oddajemy z powrotem obraz... wstawimy go... ecco!

Żebrak wyjmuje z rąk zdumionego Maria rulon, rozwija go i wstawia w ramy. Idzie mu to nieporadnie, Mario pomaga mu więc w milczeniu. Bonifazio obserwuje ich pracę, potem przystawia drabinę i pomaga im zejść.

Emilio osuwa mu się do kolan.
— Frate... Przebacz nam, frate... Jeśli się wyda, będziemy zgubieni...

Bonifazio patrzy nań długo smutnym wzrokiem i kiwa przecząco głową. Potem zamyka za nimi drzwi na zasuwę...

Jest piękna, rozgwieżdżona noc.,

Droga Krzyżowa

DROGA z klasztoru do miasta prowadzi stromo w dół, zakosami. Zakrętów jest czternaście, tyle, ile stacji ma Drog· Krzyżowa. Przemyślni zakonnicy zbudowali na każdym zakręcie mały ołtarzyk, przy którym, w dniach procesji, stoi pokornie braciszek z tacą. Zdobycie Monte Foce jest, jak widać, nie tylko uciążliwe, ale i kosztowne. Zejście z góry też nie jest łatwe, szczególnie wtedy, gdy niesie się z sobą wielki ciężar.

Mario schodzi pierwszy, wpatrzony w nieliczne już światła Gubbio. Gotów jest założyć się, że środkowe, najmocniejsze, pali się w Ristorante... Czekają ich... A może to jest światło w pokoju Corinny?...

Emilio drepce pomału. Nie interesuje go falujące od drgania gwiazd niebo. Jest mu ciężko na duszy. Czuje, że jest podłym człowiekiem i trapi się tym, że oszukał brata Bonifazia. Trzyma zwinięty rulon pod pachą, lecz raz po raz przekłada go do drugiej ręki. Przy trzecim zakręcie zatrzymuje się dysząc:

— Mario...

Malarz przystaje i opiera się o kamienny ołtarz.

— Czy on wie, że go oszukaliśmy?

Mario jest zaskoczony pytaniem żebraka. Nie zastanawiał się nad obłąkanym braciszkiem, dlatego też odpowiada opryskliwie:

— Bonifazio? Pysznie to zrobiłeś, patriarcho... Nigdy bym nie wpadł na podobny koncept...

— Nie... nie, Mario... On wiedział, że go oszukaliśmy...

— Santa Maria! Przecież nas puścił! Nie gadaj głupstw. Idziemy...

Emilio nie jest jednak przekonany. Idzie pomału, lecz w oczach tkwi mu wciąż smutne spojrzenie Bonifazia. Braciszek nie wydaje mu się teraz taki głupi... Przede wszystkim jest odważny... Jest miłosierny... Ma piękny uśmiech... Emilio zasłania ręką oczy, gdyż oślepia go widmo płonącej świecy Bonifazia.

— Uważaj! — syczy Mario, podchwytując żebraka za ramię. — Droga jest śliska... Chciałbym mieć tyle lirów, ilu pątników szło nią do klasztoru...

— A ja nie, Mario... Nie czuję już radości... Stary jestem, Mario...

Tym razem malarz zatrzymuje się. Chwilę waży w milczeniu pytanie.

— Sądzisz, że wie... Bonifazio? Wyda nas? — pyta szybko.

— Nie, nie... Powiedział, że nie powie... Bonifazio nie kłamie... Ale ty tego nie rozumiesz... Bóg nas pokarze, Mario...

Mario macha niecierpliwie ręką. Z Bogiem już od dawna był w konflikcie. Mimo to czuje, jak w serce wsącza mu się dziwny niepokój.

— Ruszamy, Emilio! Stało się i trzeba pić do końca wino. Basta, andiamo!

Pod siódmą stacją Emilio dostaje skurczu nogi. Oddaje malarzowi obraz, a sam gwałtownie masuje łydkę.

— Mario... ja chyba zgubiłem swoją duszę... Mam w oczach dziwne ognie... Jakby frate Bonifazio palił w nich sto świec... A ty...

— To od gwiazd, Emilio... Niepotrzebnie na nie patrzysz...

— Ale ja wcale na nie nie patrzę — skarży się płaczliwie żebrak. — To Bonifazio...

— Porca miseria! Bonifazio i Bonifazio! Stul swą szczekaczkę, patriarcho! Po co więc łaziłeś?... Boli cię?... — pyta po chwili troskliwiej.

Emilio nie odpowiada, tylko w milczeniu odbiera z rąk malarza obraz i idzie w dół... Ogromnie długa jest droga z klasztoru do miasta, znacznie dłuższa niż pod górę... Mario po chwili dopędza żebraka. Idą ramię w ramię. Niesiona przez malarza drabina szoruje za nimi długi ślad.

Mario przystaje teraz pierwszy i chwyta Emilia za rękę.

— Słuchaj, patriarcho... Wycofać się nie można... Giuseppe na nas czeka... A poza tym pięćset dolarów na łebek to nie lada fraszka, prawda?

Emilio kiwa rozsądnie głową. Oddałby w tej chwili malarzowi sto... nie, pięćdziesiąt dolarów ze swej części, gdyby ten potrafił rozproszyć jego wyrzuty sumienia.

— Myślisz, że Bonifazio nie powie?... A jak odkryją kradzież?... Co prawda żaden z braciszków nie rozumie się na malarstwie... Na to trzeba takiego grzyba, jak nasz Tom i dobry Baedecker w łapie... Gryzie cię sumienie?.. Porca mise... co to jest sumienie wobec pięciuset dolarów? Słuchaj... A jak każdy z nas da... no, powiedzmy... pięćdziesiąt dolarów na ubogich twego Bonifazia?...

Emilio otwiera szeroko oczy. Prostuje się w ramionach.

— Mario... Na świętego Ubalda... Nawet sam święty staruszek nie będzie miał nic przeciw temu... Pięćdziesiąt dolarów?... — Emilio zastanawia się a po chwili mówi rzeczowo:

— Wystarczy po dwadzieścia... Teraz możemy iść...

Minęli dziewiątą stację... Dachy domów miasta układały się pod nimi płaskimi, srebrzystymi płatami. To nad Monte Foce wschodził pomału księżyc...

Corinna

MARIO skrada się przez rynek. Nie chce płoszyć ciszy zastygłej pod podcieniami przyrynkowych kamieniczek. Ristorante mieści się niemal w samym centrum Gubbio. Nie na darmo jest pierwszym lokalem miasta. Na parterze poprzez szyby sączy się mdłe światło. Obok wejścia stoi jeep...

Mario staje u progu, lecz zamiast wejść do środka, obraca się w stronę miasta. Chciałby czuć radość z wykonanego przedsięwzięcia, lecz nie umie wykrzesać w sobie nic z Danta!... Jest niemy. Widzi tylko ciemną linię kamieniczek, w których przeżył trzydzieści lat... Czuje w nosie smród ich wnętrz... przypalony olej, zgniłe owoce, ludzki pot... Wspomnienie Benedetta, który żebrze pod kościołem, budzi w nim wściekłość... Najchętniej dusiłby w tej chwili wszystkich opasłych ludzi, których brzuch wypychają dolary i kradzione obrazy... Och, jak w tej chwili nienawidzi „padrone"... Na samą myśl, że taki wieprz miałby być jego teściem, Maria oblewa zimny pot...

W tej chwili nie może wejść do Giuseppe. Nie mógłby spojrzeć w jego świńskie oczy...

Mario kiwa ręką żebrakowi, który czai się pod murem, a potem cicho jak kot wspina się po schodach... Im bliżej jest celu, tym większy ogarnia go lęk przed przyszłością. Do ostatniego kroku wierzy jednak Corinnie... Jest już niemal panem małej fortuny, która zapewni im pierwsze dni bez pomocy padrone i jego milionów...

Corinna na pewno śpi... Staje pod jej drzwiami. Nie wchodzi jednak do środka. Wystarcza mu tylko słyszeć poprzez ścianę jej oddech, gorący, niespokojny, ściągający mu serce dzikim skowytem. Słyszał go już nieraz w podobną noc, która była świadkiem jego dziwactwa...

Przytyka ucho do drzwi... Jest cicho... Słychać głośne cykanie zegara... To z dołu, z pokoju Giuseppe. Nagle w tej ciszy rozlega się rozespany, skrzeczący głos:

— Come near, darling... come near...

*

Emilio jest leniwy, ale nie z gorąca, tylko z rozkładającego mu teraz starcze kości — szczęścia... Księżyc srebrzy mu brodę i siwy włos. Oparty o zimny mur trzyma kurczowo w ręku zielony banknot.

— Santo Ubaldo... pięćset takich papierków... Fortuna, i to jaka fortuna!

Emilio chce przymknąć oczy, aby wywołać wizję swego niedalekiego szczęścia: mały domek z ogródkiem... rozłożysty krzew figi... wielkie liście kładą miły chłód w lecie... w domu prawdziwy materac... kominek... stale gotujący się makaron... miękkie pantofle na nogi...

Nagle zrywa się z drzemki zbudzony głośnym klaśnięciem butów o kamienny plac.

— Mario... — szepce przerażony.

Malarz jest trupio blady. Zamiast pliku banknotów trzyma w ręku zwinięty w rulon obraz.

— Finito, patriarcho! La comedia é finita! Basta! Masz, weź to płótno! Drap się na górę do swego Bonifazia! Presto! Oddaj mu obraz, niech go zawiesza, gdzie chce. Ale pamiętaj!

Mario podnosi żebraka za brodę do góry i przyciąga wystraszoną jego twarz do swych ust.

— Słyszysz?... Masz to zrobić... Zaraz, przed świtem, capito?

Emilio nic nie rozumie, ale wie, że rozkaz Maria jest święty.

— Ca...pis...co...

— Idź... Pamiętaj, jeśli nie zrobisz tego, skarze cię twój Bóg... capito?...

Emilio żegna się struchlały, gdyż w oczach Maria drży szaleństwo. Czołga się na kolanach, chcąc chwycić jego rękę, ale malarz odsuwa się.

— Mario... A co będzie ze mną?... Mia casa... mia piccola casa...

Mario jest zamknięty w sobie. Nie mówi nic... Odwraca się i wolnym krokiem odchodzi w ciemność...

Zbigniew Czajkowski

STEFAN LICHAŃSKI

Wiersze Stanisława Grochowiaka

GDYBYM chciał określić Grochowiaka jedną zwięzłą formułą, powiedziałbym o nim: najbardziej irytujący poeta najmłodszego pokolenia. Formuła ta jest bardzo wieloznaczna i wyraża nader skomplikowany stan psychiczny: mieści się w niej i rzeczywista irytacja, i sympatia, i nawet coś jakby podziw, i pewna doza rzetelnego uznania. Pewne jest jedno: ten, kto irytuje, nie nudzi. Wiersze irytujące, to wiersze żywe, wywołujące ostrą reakcję, atakujące frontalnie naszą wrażliwość. Gładcy epigoni nie irytują. Czyta się ich łatwo, wypoczywa się nad zgrabnie zrymowanymi i zrytmizowanymi wierszykami. Taka to przyjemna, taka miła lektura. Usypia się przy niej nie wiadomo kiedy.

Nad wierszami Grochowiaka nie można usnąć: raz po raz poeta to szturchnie nas pod żebro, to znów zafascynuje jakimś zaskakującym pomysłem, oryginalną metaforą, nagłym błyskiem skoncentrowanego liryzmu. Chwilami odnoszę wręcz wrażenie, że Grochowiak zrobił z zaskakiwania czytelnika świadomie stosowaną metodę, że pisze on czasem cały wiersz dla jednego „chwytu", dla jednej błyskotliwej a trafnej metafory.

Grochowiak zapewnia w jednym ze swych wierszy, że mylą się krytycy stawiający diagnozę: „poezja ta chora", ale mimo tych zapewnień odnajduje w niej wyraźne symptomy choroby określonej przez Irzykowskiego jako metaphoritis. Metaphoritis Grochowiaka polega na dążeniu do maksymalnego uniezwyklenia mowy poetyckiej, co równa się w praktyce przerostowi p o ś r e d n i o ś c i, aluzyjności wyrazu. Dla tego poety peryfraza jest zaklęciem otwierającym Sezam liryki.

I wstąpiłaś do domu mojego,
Gdzie po nocach wędruję skulony
Z ciemną flaszą napoju cierpkiego
Jak alchemik z magicznym
balonem.

Znaczy to, że poeta po nocach pisuje wiersze. Cóż robić? W dzień absorbują nas zwykle zajęcia tzw. poważne, a więc dla igraszek z Muzą pozostają tylko późne wieczory. „Tak było, tak pozostanie", jak mawiał pewien mądry Arab. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, że Grochowiak właściwy przedmiot poetyckiego opisu sygnalizuje tylko, zaznacza, wymieniając jego cechy najbardziej „magiczne", „niesamowite". Oczywiście, ten efekt jest mu potrzebny dla skontrastowania cytowanej powyżej strofy z następną, a właściwie z pierwszym jej dwuwierszem:

Ty zaś czytasz przy lampie lub
spodnie
Me oglądasz i martwisz się: —
łata!

niemniej skłonność do uniezwyklania poetyckiej koncepcji, do grania efektami lirycznej magii jest w zacytowanym fragmencie bardzo wyraźna.

Skłonność do uniezwykleń obrazu prowadzi poetę czasem do nadużywania nienajszczególniej budowanych hiperbol, jak np.: „Kładziesz wichurę swych płomiennych włosów" (Przybyszewski się kłania!), „Ktoś chciał podpalić fundamenty światów, a teraz płacze, wyłamując dłonie", „Huraganem miotane mkną lata" itp. Słowem: dążenie do niezwykłości, absolutnej oryginalności, olśniewania czytelnika daje chwilami w efekcie banały lub zgoła dziwactwa („Kładziesz wichurę swych płomiennych włosów na grzbiet mój czujny jak plecy psa"). I wtedy ogarnia nas szczera irytacja, serdeczna szewska pasja, zwłaszcza gdy takie cudo jak zacytowane przed chwilą zdanie szpeci piękny wiersz („My i Bóg").

Aha, więc jednak piękny wiersz! Kręcisz, bracie, zagadujesz i tak i owak, wymigujesz się, ale ostatecznie musisz uznać artystę! Mój Boże, gdybyż to tylko o to chodziło, żeby uznawać i wystawiać poświadczenia tzw. talentu! Jakże wygodną synekurą byłby wtedy zawód krytyka... Ale nie o to w tym wypadku chodzi: gdyby wiersze Grochowiaka szokowały mnie wyłącznie w sposób przykry, to w ogóle nie pisałbym o nich. Dosyć mam własnych zmartwień.

Rzecz w tym, że nawet w wydziwaczeniach i pretensjonalnościach Grochowiaka dostrzegam pewną metodę: ten poeta przerabia zastaną tradycję literacką na swój użytek, eksperymentuje w niej, przymierza ją do siebie i siebie do niej. I to jest droga, na której dochodzi się do najpełniejszej i najbogatszej samowiedzy artystycznej. Nie poprzestać na tym, „co się w sercu gra", ale tę muzykę uczuć i nastrojów ująć w karby świadomej woli twórczej, potraktować jako materiał dzieła, a nie dzieło już gotowe, które trzeba tylko zapisać i przekazać potomności ku podziwianiu. Świat przeżyć wewnętrznych jest dla Grochowiaka terenem odkrywczych wypraw, krajem, który ma podbić i zbadać świadomość artysty, szersza i bogatsza niż świadomość wyłącznie dyskursywna.

Grochowiak atakuje także świat zewnętrzny. Widzi go jednak zawsze przez pryzmat własnych doznań, własnych umiłowań i pasyj. Nie ma w jego wierszach chłodnej „przedmiotowości", za którą kryje się obojętność moralna lub niedowład uczucia. Deformacja obrazu rzeczywistości wydaje się u tego poety rezultatem bardzo gorącego i przede wszystkim emocjonalnego reagowania na podniety przychodzące z zewnątrz. Dopiero później myśl porządkuje i organizuje spontanicznie powstałą wizję.

Jest w Grochowiaku jakaś nadczułość wyobraźni, która każe mu patrzeć przede wszystkim na to, co w faktach i rzeczach jest nowe, niezwykłe, odrębne. Wielki to ale zarazem bardzo niebezpieczny dar. Jaki użytek zrobi z niego poeta, trudno przewidzieć. W każdym bądź razie ma on już dziś za sobą godne uwagi osiągnięcia. Wiersze takie, jak np. „Chmura" („Dziś i Jutro" Nr 4), czy spośród zamieszczonych w nrze poprzednim — „My i Bóg", „Biały płacz", „Egzekucja", „Na rzeczy nasze...", to coś więcej niż tylko piękne zapowiedzi.

Stefan Lichański

BANKIN CHANDRA CHATTARYA

WIERSZE INDYJSKIE

Vande mataram

Dawny hymn narodowy Indii
(wg tekstu p. Umadevi)

Cześć Tobie, Matko!
Słodkimiś wody bogata,
W owoce i plony hojna,
Zielenią drzew sandałowych
I pól ryżowych strojna.
Cześć Tobie!

Wiatrów południa podmuchem
Oddycha Twoje lice,
Gdy zboż szumiących rańtuchem
Osłaniasz swe oblicze —
Rodzicy.

A gdy noc tegnie
Nad Twych pól obszarem
I świat wypełni spokojem i czarem,
A Twoje gaje otuli szatami
Księżycowymi

Wówczas Ty —
Słodkiej zadumy uśmiechem,
Łagodnym słowem, niosącym pociechę,
Szczęście rozsiewasz
Po ziemi.
Matko Ojczyzno!

Trzystu milionów głosami potężna,
Zaklęta w trzystu milionów serc drgnienia,
Trzystu milionów mieczami orężna —
Któż się ośmieli drwić z Twego Imienia?

Wyzwolicielko przeogromnych mocy,
Pocieszycielko narodu w żałobie,
Gdy zrywasz z rąk swych okowy przemocy
Matko, cześć Tobie!

Tyś jest mądrością naszą
I czynów naszych sensem,
Ty tętnisz w naszych sercach
Jak życiodajna krew,
W muskułach — jako siła,
A w ustach — jako śpiew.
O Matko!
W Tobie miłość
I wiara w bliski świt.

Na Twoją cześć
Dźwigaliśmy świątynie,
Twój obraz w każdej z nich się pali:
Ty jesteś Durgą, zbrojną w miecze,
I zbrojna w radość, jak Kamali.
To Twoje słowa —
Z ust bogini —
Stały się źródłem praw człowieczych

Cześć Tobie, Matko!
Oto lud Twój do stóp Ci się ściele...
Cześć Tobie, dóbr nieprzebrana władczyni,
Cześć niezrównany, przeczysty, jedyny
Nasz celu!

W niezmierne wody bogata,
W owoce i plony hojna,
Z twarzą spaloną a jasną,
Matko w klejnoty strojna.
Przesłodkim uśmiechem kraśna
Darów przelicznych dawczyni,
Miłością naszą darzona,
Ojczyzno —
Matko Jedyna!
Bądź pozdrowiona!

B. S. MARDHEKAR

Pieśń ducha

Opłakaliśmy, droga, swą śmierć
Już dwukrotnie: raz gdyśmy zginęli,
By się zbudzić w łoskocie swych serc,
W moim — ty, oraz ja w twoim ciele;
Cofnij myślą się w dzień Wniebowzięcia,
By przez lata stargane w zamęcie,
Wśród uniesień, wyrzutów i żalu,
Dotykalnych nieomal w obłędzie,
Zwątpić w to, żeśmy coś opłakali.

Droga, myśmy dwukrotnie umarli —
Pożegnali dwa własne istnienia,
Lecz tym razem tę śmierć po raz drugi
Przeżywamy nie w sobie, lecz w drugim,
A po takiej już nie ma wskrzeszenia!
Tacy zmarli to nic, jeno duchy,
Co są swemu losowi powolne,
Już żałoby zrozumieć niezdolne.
Zawieszone w zupełnym bezruchu,
Lub chwiejące się gdzieś poza sobą
Na krawędzi, co budzi odrazę
Ukochana, zaprawdę dwa razy
Opłakaliśmy własną żałobę.

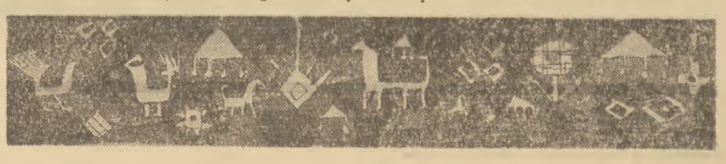

HARINDRANAT CZATTOPADJAJA

Papierowe okręciki

Ja na wezbrane wody kiedyś,
Bardzo dawno,
Puściłem łódź z tektury,
A bez steru,
Mówiąc:
— Zobaczę, jak daleko ty
Dopłyniesz,
Okręciku mój
Z papieru!
A jeszcze wcześniej,
Na wezbrane wody,
Wypuścił Wisznu mnie...
I też bez steru,
Mówiąc:
— Zobaczę, jak daleko ty
Dopłyniesz,
Okręciku mój
Z papieru!

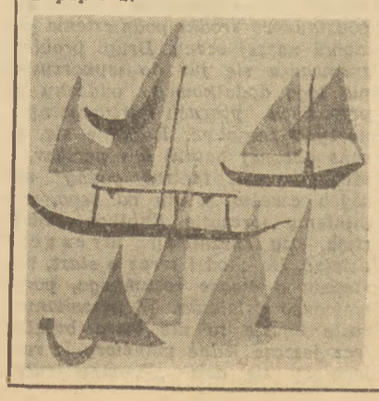

Równowaga

Czy mógłbyś wżyć się
W palmę i w ciszę
Pośród błękitu
Wczesnego świtu?

Czyś się zanurzył
W spokoju róży
W szarych kolorach
Jesiennej pory?

Czyś bez obawy
Był listkiem trawy
W żółtej przyłbicy
Złej błyskawicy?

Kamieniem burym
Na stoku góry,
Kiedy kaskada
Piorunów spada?

Czyś spłynął chłodem
Pod szybę wody,
By lec na mule
Bez snów i bólu?

Czyś był topolą
Nad sennym polem...
Baziami witał
Nadejście świtu?

Przeł. Bohdan Gębarski

MAREK STASKI

„BIAŁE SZALEŃSTWO" jest zaraźliwe

„ROKU Pańskiego 1572 niektórzy górnicy zmówiwszy się poszli do doliny pod Śnieżkę, by tam szukać skarbów. Gdy chcąc zmusić ducha gór do ich wydania poczęli go w straszliwy sposób zaklinać, ukazał się im wprawdzie przywołany zaklęciami, ale wśród tak potężnych grzmotów, błyskawic i nagłego zimna, że niefortunni zaklinacze z wielkim strachem i przerażeniem uciekli. Z podobnymi objawami szatańskiej mocy spotykali się niejednokrotnie zuchwali Italczycy, którzy przybyli tu, by przy pomocy różnych zaklęć i sztuk czarnoksięskich szukać skarbów. Gdy wyszedłszy na górę poczęli robić tajemnicze znaki i zaklęcia, ukazał się im duch gór, ale w tak strasznej wichurze, śnieżycy i mrozie, iż rozpierzchli się w trwodze, ledwie dusze cało unosząc..."

Tyle donosi nam o pierwszych wyprawach w góry uczony profesor lipski, czcigodny magister Praetorius w swym dziełku, będącym zbiorem legend dolnośląskich, a zatytułowanym „Daemonologia Rubinzalii Silesii". W drugiej bowiem połowie XVII stulecia legendy o dolnośląskim „duchu gór" znalazły już swój wyraz w literaturze. Ale nie o poszukiwaczach złota i klejnotów, nie o „zuchwałych Italczykach" chcemy Wam dzisiaj opowiedzieć. Do dolnośląskich uzdrowisk i miejscowości wczasowych przyjeżdżają bowiem dzisiaj ludzie ze wszystkich stron naszego kraju nie po diamenty i żyły złota... Przyjeżdżają tu po zdrowie, rozrywki sportowe i odpoczynek po pracy.

Z „OŚLEJ ŁĄCZKI" NA SZCZYTY KARKONOSZY!

— Tędy jechali narciarze!

Jechali. Świadczą o tym ślady nart.

Wyżłobione w śniegu ślady nart można w Szklarskiej Porębie spotkać na każdym kroku. Tysiące narciarzy zażywa tu „białego szaleństwa". Okolice wczasowiska doskonale nadają się jako narciarskie tereny ćwiczebne i obfitują w szereg szlaków narciarskich oraz tras zjazdowych. Jednak zalesione zbocza Karkonoszy wymagają od uczestników wycieczek narciarskich pewnego zaawansowania w zjazdach stromymi drogami leśnymi.

Dla początkujących dogodne tereny do nauki jazdy na nartach znajdują się na „oślej łączce" między torem w Górnej a kościołem w Średniej Szklarskiej Porębie oraz na rozległej Hali Szrenickiej, gdzie wznosi się największe schronisko PTTK w Sudetach, dysponujące 160 miejscami noclegowymi, dużą świetlicą i salami jadalnymi. Dzięki doskonałym terenom ćwiczebnym Hala Szrenicka jest obecnie ośrodkiem masowych kursów i obozów narciarskich.

Pierwszym wyraźnie rysującym się szczytem jest w zachodnich Karkonoszach Szrenica, o charakterystycznym kształcie ściętego stożka. Ten najwyższy w okolicy Szklarskiej Poręby szczyt wznosi się na 1362 metry wysokości nad poziom morza. Na granicy lasu znajduje się pod szczytem wspomniana już Hala Szrenicka, zwana ongiś Graniczną Łąką. Wówczas, w roku 1787, zbudowano tu pasterską budę, która wkrótce zaczęła pełnić rolę schroniska turystycznego. Tak więc schronisko na Hali Szrenickiej ma bogatą tradycję. Można na nim zaobserwować typową ewolucję budy pasterskiej w schronisko — oto stara buda pełni dziś rolę stajni, nowsza część pochodzi z roku 1896 i służy jako pomieszczenie gospodarcze i mieszkalne, a do użytku turystów oddano najnowszy budynek, postawiony tu piętnaście lat temu.

Na Łabskim Szczycie stoi najstarsze schronisko wysokogórskie w Karkonoszach — powstało ono również jako buda pasterska przy prastarym szlaku handlowym, wiodącym z Wlenia, koło Bobrowych Skał i wodospadu „Szklarki", tzw. „Czeską Drogą" przez grzbiet Karkonoszy do Czech. Owo schronisko przy drodze powstało zapewne jeszcze w XVI stuleciu, gdy rozgorzał długotrwały spór między Śląskiem a Czechami o Karkonosze. Pełniło ono dawniej rolę punktu kontrolnego w czasie nasilenia granicznego, a obecnie, odbudowane po pożarze w 1915 roku, stanowi ważny punkt węzłowy szlaków narciarskich i schronienie dla turystów.

Najciekawszą wysokogórską partią Karkonoszy są Śnieżne Kotły. Są to dwa ogromne, doskonale wykształcone polodowcowe kotły, znajdujące się w najwyższym punkcie zachodniej części Karkonoszy między Wielkim Szyszakiem a Łabskim Szczytem. W zachodniej ścianie jednego z owych kotłów, tzw. Małego Kotła znajduje się duża i ciekawa osobliwość geologiczna — żyła bazaltowa, przecinająca w tym miejscu granit, osiągając wysokość 1400 metrów.

Śnieżne Kotły, leżąc w strefie podalpejskiej posiadają barwną i ciekawą szatę roślinną. Z krzewów obok kosodrzewiny na uwagę zasługują piękne okazy brzozy karpackiej, wierzby lapońskiej, jarzębiny karłowatej i różanecznika. Obecnie na wycieczce narciarskiej warto „zahaczyć" o tamtejsze okolice i obejrzeć tę niezwykłą roślinność, która już wczesną wiosną powiększa się o duże obszary kwitnące zawilcem alpejskim i białymi pękami zawilców narcyzowatych. Pamiętajmy jednak, że Śnieżne Kotły są rezerwatem ścisłym i wszystkie bez wyjątku rośliny podlegają ochronie.

Wiele jest dogodnych szlaków narciarskich w rejonie Szklarskiej Poręby. A prawie na każdym szlaku napotka turysta schronisko, w którym można odpocząć i posilić się. Po podejściu na grzbiet Karkonoszy stoją przed narciarzami (ale pamiętajcie: już chociaż trochę zaawansowanymi!) otworem piękne i długie zjazdy: ze Śnieżnych Kotłów, z Łabskiego Szczytu i Szrenicy.

W wypożyczalni sprzętu sportowego FWP można wypożyczyć narty i buty narciarskie, a zasypane białym puchem góry aż zapraszają do wycieczek narciarskich. I niejeden z wczasowiczów, który po przyjeździe do Szklarskiej Poręby uczył się od instruktora stawiania pierwszych kroków narciarskich na „oślej łączce" — wybierze się pod koniec swego pobytu na szczyty Karkonoszy.

NA „MURZYNA"

Podczas gdy jedni będą zażywali „białego szaleństwa" na nartach, inni zadowolą się saneczkami i łagodnym, lecz długim zjazdem saneczkarskim, od słynnego „zakrętu śmierci" na szosie świeradowskiej, który prowadzi aż do samego centrum wczasowiska. Tam jeszcze inni wyciągają na zbocza górskie tuziny leżaków i opalają się. Wytrwale smażą się w lutowym słońcu. A trzeba wiedzieć, że zimą (szczególnie w lutym i marcu) promieniowanie słoneczne jest tu kilkakrotnie silniejsze niż na nizinach, a ilość dni słonecznych jest dwa razy większa niż w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, czy Wrocławiu. Dzięki swemu położeniu między górami, które ją zasłaniają od wiatru, Szklarska Poręba ma klimat łagodny o bardzo dużej ilości bezwietrznych dni słonecznych.

W związku z tymi właściwościami klimatycznymi wypływają następujące wskazania lecznicze: kilkutygodniowy pobyt w uzdrowisku wpływa bardzo pomyślnie na wszelkie stany wyczerpania fizycznego i nerwowego, a ozdrowieńcy znajdują tu po ciężkich chorobach idealne warunki wypoczynkowe. Ponadto leczy się tu choroby górnych dróg oddechowych. Dobroczynny wpływ wywiera także silnie promieniujące słońce.

A opalić się można bardzo mocno — na „murzyna"!

O SZKLARSKIEJ PORĘBIE BEZ „LAKIERU"

Wszystko, co w związku ze „stolicą białego szaleństwa" powiedzieliśmy wyżej o Szklarskiej Porębie świadczy jak najlepiej o tej pięknej miejscowości, położonej w zachodnim cyplu Dolnego Śląska, do której niestety przyjeżdża coraz mniej wczasowiczów. O, właśnie... coraz mniej wczasowiczów. Czyżby Szklarska Poręba nie była już „modna"? Nieprawda — wczasowisko jest nadal „modne". A i okolice jego są tak samo piękne, słońce świeci równie intensywnie jak przed laty i lasy pachną równie odurzająco. Samo wczasowisko nie stało się ani mniej „modne" niż dawniej, ani mniej piękne. To tylko wczasy FWP w tej miejscowości stały się już zupełnie „niemodne".

A dlaczego? Na to pytanie w wystarczającym stopniu odpowiedziała konferencja partyjno - ekonomiczna, która obradowała w ostatnim czasie. Konferencji tej nie można zaliczyć do rodzaju tych, na których dyskutanci dzielą się swymi osiągnięciami, a obrady stanowią podsumowanie ofiarnej i wydajnej pracy. W Szklarskiej Porębie można było podsumowywać tylko fakty zaniedbania i marnotrawstwa mienia społecznego.

Ponad 500 protokołów zniszczeń, niezabezpieczenie opału przed kradzieżami, zdewastowane i „zagrzybione" domy wczasowe — oto najważniejsze przykłady karygodnego marnotrawstwa, oto niechlubny bilans rocznej, nieudolnej gospodarki ośrodka FWP. Straty Funduszu Wczasów Pracowniczych, wynikające z tego stanu rzeczy sięgają prawie dwóch milionów złotych!

Któż jest winien? Ano, zapytajmy kierownika ośrodka FWP. On nic nie wie. „Nabałaganiło" trzynastu jego poprzedników. Ta trzynastka okazała się doprawdy feralna! Ano, zapytajmy któregoś z kierowników domów wypoczynkowych FWP. Nie wiedzą, zmieniło się ich 164. Spróbujmy zapytać kogoś z pracowników umysłowych, czy fizycznych. Nie dowiemy się niczego — stopień płynności kadr wyniósł w ciągu ostatniego roku 89 procent pracowników fizycznych i 100 procent pracowników umysłowych. Zmieniono 19 instruktorów kadr i szkolenia, 15 kierowników administracyjno - gospodarczych i 11 kierowników organizacyjnych...

Czy od tego czasu poprawiło się coś na wczasach w Szklarskiej Porębie? Pierwsze znaki „na niebie i ziemi" zaczynają wskazywać, że jest już poprawa i stała tendencja do tego, żeby wczasowicze mieli coraz lepszą obsługę i aby czuli się coraz lepiej. Konferencja partyjno-ekonomiczna wytyczyła dalszą, lepszą drogę postępowania, a nowy dyrektor okręgu wypoczynkowego w Szklarskiej Porębie, mgr Godawa, zabrał się do pracy z całą energią. Pierwsze efekty staranniejszej gospodarki już są — w domach wczasowych jest ciepło, wybitnie poprawiło się wyżywienie, wzrasta uprzejmość personelu — już mniej jest skarg wczasowiczów. Ich miejsce zaczynają zajmować pochwały...

Czy Szklarska Poręba odzyska „dobrą reputację" wśród wczasowiczów — przyszłość pokaże. Ale nowa gospodarka w dyrekcji okręgu wypoczynkowego FWP powinna to sprawić, a wspaniałe warunki terenowe, w jakich wczasowisko się znajduje, predestynują je do tego, aby cieszyło się jak najlepszą reputacją wśród wczasowiczów, przyjeżdżających tu z całego kraju.

A JEDNAK...

Mówi się nieraz, że przecież sporty zimowe uprawialiśmy od dawna.

A jednak jako forma wypoczynku, czyli wczasów zimowych, rozwijają się dopiero teraz, w Polsce Ludowej. Dopiero teraz spotykają się w domu wczasowym ludzie pracy z całej Polski. I z radością zażywają „białego szaleństwa".

Czy po całodziennej wycieczce narciarskiej można jeszcze wieczorem tańczyć? Można — nawet bardzo dziarsko. W nowej świetlicy domu wypoczynkowego FWP „Belweder" odbywa się właśnie jeden z wieczorków wczasowych. Przyszli prawie wszyscy ci, którzy byli na wycieczce narciarskiej na szczycie Szrenicy. A teraz bawią się wesoło...

Stanisław Englert ze wsi Bestwina koło Krakowa i Stanisław Stepnowski ze Stalinogrodu mówią z nieukrywanym żalem:

— Jaka to szkoda, że nasz pobyt już się kończy...

— Bo wczasy — to jednak piękna rzecz!

Nie można bowiem miarki marnotrawstwa i bałaganu, jaki w ubiegłym roku panował w FWP w Szklarskiej Porębie, przykładać do wczasów w ogóle. Bo wczasy to naprawdę piękna rzecz. Fundusz Wczasów Pracowniczych posiada obecnie 1345 domów wypoczynkowych w 81 najpiękniejszych miejscowościach klimatycznych, uzdrowiskach i zdrojowiskach całego kraju. Liczba wczasowiczów w ośrodkach FWP wzrosła z 12660 w 1945 roku do 412000 w roku ubiegłym. A od nowego roku FWP wprowadził szereg zmian organizacyjnych w ośrodkach wczasowych oraz w systemie rozdziału skierowań na wczasy. Dzięki temu z pobytu w domach wypoczynkowych FWP skorzysta w 1955 roku ponad 475 tysięcy ludzi pracy.

NAJWIĘKSZY SKARB DUCHA GÓR

Niegościnnie przyjmował „duch gór" swych pierwszych turystów, jak to opisuje w cytowanej na wstępie legendzie magister Praetorius. Wiatry, mrozy i zawieruchy odstraszały śmiałków, poszukujących skarbów. I chociaż dzisiaj ludzie nie przyjeżdżają tu po złoto i diamenty, tym niemniej zaroiły się nasze górskie miejscowości wczasowe od przybyszów z całej Polski. I mimo, że ludzie boją się jeszcze zimy, bo przecież pada śnieg, a mróz mocno nieraz szczypie w uszy, sport i wczasy zimowe zyskują coraz więcej zwolenników.

Bardzo słusznie, bo lekarze twierdzą, że zimowy odpoczynek połączony ze sportem, np. z narciarstwem lub saneczkarstwem, doskonale regeneruje siły człowieka, wzmacnia nerwy i apetyt oraz świetnie wpływa na samopoczucie.

Jest jeszcze czas — sezon zimowy jest w całej pełni i trwać będzie w dolnośląskich wczasowiskach górskich do kwietnia. Jedźcie więc w góry na wczasy zimowe i „szalejcie na biało" czy to w Szklarskiej Porębie, czy w innym naszym wczasowisku. A pamiętajcie, że „białe szaleństwo" jest zaraźliwe. Jego bakcyl atakuje nawet ludzi tzw. „poważnych", „statecznych" i „zrównoważonych"...

Oby i Was zaatakował. Bo wczasy na nartach są bardzo przyjemne. Tym bardziej, że „duch gór" jest już dziś znacznie gościnniejszy, niż przed czterystu l ty. Tych bowiem, którzy do górskich uzdrowisk przybywają po radość i zdrowie, po urok szczytów i grani, „duch gór" przyjmuje bardzo serdecznie, ukazując im swój największy skarb.

Piękno naszych starych polskich gór w całej krasie zimowej szaty.

Marek Staski

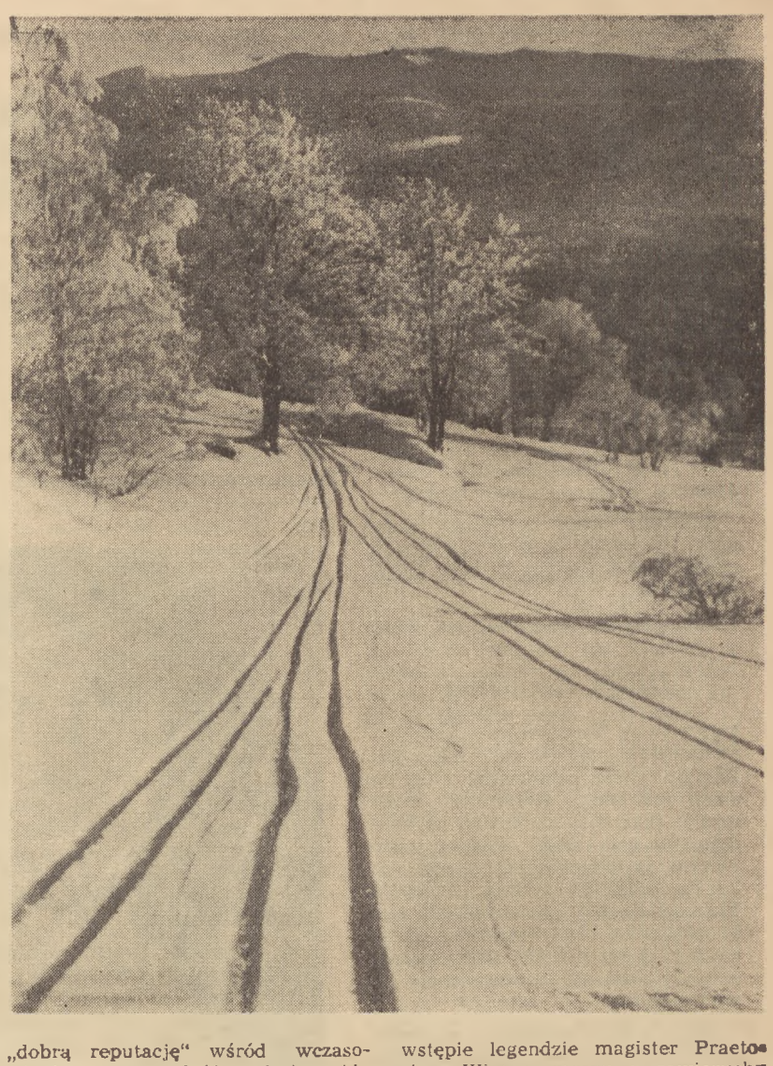

Odpowiadając na liczne listy nadchodzące do redakcji w związku z konkursem na reportaż, przypominamy, że ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych upływa 20 marca 1955 r.

Jednocześnie podajemy do wiadomości, że udział w konkursie brać może każdy oraz że ilość prac nie jest ograniczona.

Redakcja

STANISŁAW CHRISTIAN

Z rozważań repertuarowych

ŻE nasza Melpomena słabuje, że cierpi na rozmaite dolegliwości — wiemy nie od dzisiaj. Co więcej, specjaliści różnego autoramentu raz po raz w obszernych i uczonych komentarzach odkrywali rodowody owych przypadłości, jednocześnie usiłując znaleźć najskuteczniejszy środek zaradczy, najradykalniejsze antidotum. W chórze sprzecznych opinii, wygłaszanych z różnych wysokości i miejsc, dominował, przyznajmy, ton niezadowolenia z ogólnych osiągnięć naszego teatru na przestrzeni ostatnich lat. I jeśli trafiła się tu i ówdzie tzw. gratka w postaci nietuzinkowej roboty reżyserskiej czy pokazu sztuki aktorskiej — nie szczędzono słów aprobaty i dopingu. Czynność oklaskiwania jest z pewnością bardzo przyjemnym manifestowaniem sądów i uczuć. Ale to również niebezpieczna czynność. W naszym teatralnym wypadku jest rzeczą nie tyle towarzyskiego taktu, co rozsądku i polityczno-kulturalnej dojrzałości.

Z drugiej strony, dotychczasowa kuracja dowodnie wykazała, że nie przedsięwzięto odpowiednio efektywnych sposobów leczenia, skoro stan pacjentki (Melpomeny) niewiele się polepszył. Przestano więc oklaskiwać, a zaczęto się setnie nudzić i najpoważniej niepokoić. Właśnie ta gorąca troska o wielką przyszłość naszej sceny zrodziła cięcia, jakie — że użyję raz jeszcze lekarskiego porównania — zastosowano na ostatnim XIII konsylium Kultury i Sztuki. Czy jest to już z dawna wyglądany przełom? Może nas o tym przekonać jedynie charakter i zasięg zmian, które nastąpią trop w trop za treścią rezolucji Rady. Skuteczne urwanie łba hydrze centralizmu, przyznanie szerokich kompetencji w zakresie pracy twórczej poszczególnych teatrów — oto najprostsze i, zdaje się, podstawowe środki podniesienia poziomu naszej sceny. Drugi problem sprowadza się już do wykorzystania tego dodatkowego oddechu w przyszłych pracach artystycznych naszych zespołów. Rozumie się, że sens obecnej batalii o repertuar, o ideowy profil teatru godny naszych czasów zależy od tego, czy miniemy wreszcie Rubikon gadulstwa, czy zaczniemy wreszcie działać. Bo chodzi teraz o start, następnie o owoce rozumnego, porywającego działania. W przeciwnym razie będzie to nie ostra batalia, lecz jeszcze jedne manewry, a rozlegający się dziś „Trommelfeuer" postulatów, nawoływań i zapewnień może się okazać kanonadą ślepych pocisków.

*

„Repertuar warunkuje styl teatru, styl warunkuje teatr". Jest to niewątpliwie znany truizm; niestety — jakże rzadko widoczny z krzeseł naszych widowni. Czy jedynie teatr ponosi za ten stan winę? Czy ta znana, a najczęściej gdzieś zagrzebana prawda wynika na skutek artystycznej nieporadności lub w ostatecznej instancji politycznej indolencji kierowników artystycznych teatrów? Po części tak. Jak wiadomo m. in., niedouczenie czyli popularna ignorancja, legitymująca się lichotą i amatorszczyzną hasa swobodnie poza rampą. Ale wydaje mi się, że te braki były w minionym okresie „zasługą" buszującego centralizmu, który m. in. ściśle przestrzegał wykonywania planów ilości widzów. Trzeba było wystawiać nie to, co w pewnych, zresztą nielicznych teatrach wynikało z ich ducha, z generalnej koncepcji ideowej, bez której przecież nie ma wielkiego teatru, lecz to, co robiłoby tłoczek przed kasą. Czasem nie zdajemy sobie sprawy, ile rzeczy z konieczności puszcza się wbrew sercu, byle zadowolić surowe żądania planu; często przez łechtanie ubożuchnych guścików widowni. Ale to chyba jedna z najtrudniejszych „spraw do załatwienia". Zowie się edukacją teatru, a w daleko większym stopniu — naszego widza.

Należy się spodziewać, że w efekcie dawnej, powszechnej i rodzimej klasyki, że winien w jak najszerszym stopniu wprowadzać współczesną dramaturgię.

Z nieznanym w pełni Szekspirem musi przekroczyć rampę zupełnie odepchnięty Ibsen i zawstydzająco ubogi na naszych scenach Hauptmann oraz Shaw, niewątpliwie Lessing, Schiller i Goethe, z naszych „poniżonych" wielkości — Wyspiański, którego — śmiem twierdzić — nikt nie oglądał w Polsce powyżej rocznika 1930. Olbrzymi są zawsze widoczni: toteż o nich będą się upominać wszyscy.

Gorzej z mniejszymi czy wątpliwymi. Czy wreszcie z zapomnianymi. Wprawdzie od kilku lat wyciąga się raz po raz z zakurzonych półek „nieznanego" pisarza, który okazuje się nagle wcale dobrym i zgrabnym dramaturgiem. W ten sposób teatr niejako rehabilitując historyków literatury „ocalił od zapomnienia" Apolla Korzeniowskiego, Piotra Choynowskiego, J. A. Kisielewskiego. Te „odkrycia" chyba nie najpochlebniej świadczą o znajomości naszej narodowej dramaturgii; są, mimo wszystko, smutnym symptomem lekkiego rozgardiaszu, braku systematycznych, przewartościowujących badań nad dziejami teatru i dramatyki. W Roku Mickiewiczowskim mamy zobaczyć „Dziady" i „Nie-boską komedię"; są szanse, iż jakiś ambitny teatr podejmie żmudną i wcale trudną robotę nad „Snem srebrnym Salomei" czy fragmentaryczną, wspaniałą „Złotą czaszką". Sądzę, że przy tej pięknej i wielkiej okazji nie powinniśmy utracić z pola widzenia i teatru romantyków krajowych, prawda, iż nie zawierającego tej pasji ideowej, napęczniałej i dziś polityczną aktualnością, i cudownej poezji. Przypomina się tu Korzeniowski, może Kraszewski, z pewnością solidnie wyselekcjonowany Skarbek i niewątpliwie Jan Nepomucen Kamiński. Tegoż m. in. „Skalmierzanki", uroczo naiwne, lecz nie pozbawione po dziś dzień osobliwej świeżości i czaru, folklorystycznej barwy, zresztą już przywrócone przed laty scenie geniuszem Schillera (w warszawskim teatrze im. W. Bogusławskiego) mogłyby w jakiejś mierze czy zupełnie samoistnie rekompensować nieobecnych od lat „Krakowiaków i Górali". Tym, którzy szukaliby specjalnego powodu wystawienia Kamińskiego, służę informacją: w roku bieżącym, 1955, przypada setna rocznica śmierci tego pisarza, tłumacza, dyrektora i aktora, wyjątkowo zasłużonego polskiej sztuce.

Skoro jesteśmy w tym okresie, godzi się wspomnieć jeszcze jednego dramaturga: Dominika Magnuszewskiego z jego arcyinteresującym „Rozbójnikiem salonowym" stanowiącym świetny pod względem obyczajowo-klasowym dokument buntu i walki plebejusza z salonową arystokracją. Brakujące nie dopisane sceny, jednakże pozostawione w szczegółowym planie można by łatwo skonstruować.

Ten wyrywkowy rejestr pisarzy i sztuk zapomnianych chciałbym

DYSKUSJA O MŁODZIEŻY ARTYSTYCZNEJ

Notatnik Konkursowy

JUŻ za kilka dni młodzi pianiści z 33 krajów Europy, Azji, Ameryki i nawet Afryki przystąpią do egzaminu swych umiejętności w V Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim w Warszawie. Historia dotychczasowych konkursów staje się dowodem stale wzrastającej popularności tej wielkiej imprezy, która jeśli chodzi o ilość dopuszczonych kandydatów osiągnęła w tym roku nie notowaną liczbę 138 pianistów.

Warto przypomnieć, że z ekip zagranicznych najpoważniejsze sukcesy odnieśli dotąd pianiści radzieccy, którzy w pierwszym konkursie 1927 r. zdobyli pierwsze i czwarte miejsce (Lew Oborin, Grzegorz Ginsburg), w 1932 r. miejsca: IV, VI, VIII i XI (Abram Lufer, Leonid Sagałow, Teodor Gutman, Emanuel Grossman), w 1937 r. I, II i IX nagrodę (Jakub Zak, Róża Tamarkina i Tatiana Goldfarb) zaś w 1947 r. I, IV, VII, IX i X miejsce (Bella Dawidowicz, Jerzy Murawlew, Eugeniusz Malinin, Tamara Gusiewa i Wiktor Mierżanow).

Dla Polski w I konkursie Stanisław Szpinalski i Róża Etkin zdobyli II i III miejsce. W pięć lat później, w II konkursie Polacy osiągnęli słabsze wyniki: Bolesław Kon był III, Leon Boruński VII, zaś Maryla Jonasówna XIII. Niewiele lepiej wypadł też następny konkurs w 1937 r., w którym Witold Małcużyński otrzymał trzecią nagrodę, Jan Ekier był ósmy, a Olga Iliwicka dziesiąta. Natomiast w pierwszym powojennym konkursie zorganizowanym w roku chopinowskim w 1949 polscy pianiści odnieśli wielki sukces, zdobywając bezspornie pierwsze miejsce i dzieląc się I, II, III, V, VI, VIII, X i XII nagrodą.

Do V Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego ekipa polska przystępuje troskliwie przygotowana z silnym postanowieniem powtórzenia sukcesów dokonanych pięć lat temu przez starszych kolegów. Po wspólnych obozach, wielomiesięcznej pracy przygotowawczej pod okiem znanych pedagogów i wirtuozów, wewnętrznych eliminacjach krajowych, wyłoniono grupę pianistów, którzy reprezentować mają barwy polskie. Trudno stawiać jakiekolwiek horoskopy i przewidywać wyniki konkursu, pewne jest jednak, że zrobiono słuszny wybór i że ekipa polska jest najsilniejszą z jaką możemy w tej chwili wystąpić. Wszyscy nasi młodzi pianiści odznaczają się dobrym przygotowaniem technicznym, nowoczesnym, choć znacznie różniącym się stylem interpretacyjnym, no i tak ważną w wypadku wielkich imprez — odpornością psychiczną.

Tak więc najbliższe dni staną się egzaminem umiejętności naszej młodzieży pianistycznej, wykazując na tle gości zagranicznych poziom polskich muzyków. Egzamin ten będzie tym celniejszy, że tegoroczny konkurs obsadzony jest wyjątkowo licznie i silnie i jak chodzą słuchy wielu zagranicznych konkursantów szykuje się na zdobycie głównej nagrody.

W myśl regulaminu V konkurs odbędzie się w 3 etapach punktowanych przez Sąd Konkursowy w skali od 1 do 25 punktów. Warunkiem przejścia kandydata do drugiego etapu jest uzyskanie w pierwszych eliminacjach minimum 16 punktów. Do 3 etapu — dopuszczeni zostaną tylko ci uczestnicy, którzy w drugim etapie otrzymają przeciętnie minimum 18 punktów, a więc ocenę graniczącą między dobrym a bardzo dobrym wykonaniem. Tak samo do nagrody kandydować mogą ci pianiści, których wykonanie koncertu F-moll, lub E-moll oceniono najmniej na 18 punktów.

Eliminacje konkursu odbywać się będą w godzinach od 10 do 13 i 16 do 19. Pierwszy etap trwać będzie od 22 lutego do 3 marca, drugi etap od 6 do 11 marca, a trzeci od 14 do 18 marca.

Przewidziano 5 nagród konkursowych: I — 30 tys. złotych, II — 25 tys. zł, III — 20 tys., IV — 15 tys. zł, V — 10 tys. zł oraz pięć wyróżnień po 5 tys. i tradycyjną specjalną nagrodę za najlepsze wykonanie mazurków.

Głos muzyka

POWAŻNYM osiągnięciem naszych czasów jest już sam fakt, że można dziś w Polsce mówić o młodzieży muzycznej, jako o pewnej grupie społecznej, o czym przed wojną nie mogło być mowy, gdyż niewiele było uczelni muzycznych i stosunkowo nieznaczna ilość studiującej w nich młodzieży. Dziś mamy w Polsce siedem Wyższych Szkół Muzycznych, liczba zaś innych zakładów muzycznych idzie w dziesiątki, przy czym ilość uczącej się w tych szkołach młodzieży wyraża się z pewnością liczbą pięciocyfrową.

Tu jednak czai się pewne niebezpieczeństwo. Rozwój sieci szkół muzycznych nie jest proporcjonalny do rozwoju kadr wykwalifikowanych pedagogów. Liczba wybitnych profesorów, którzy w ciągu wieloletniej pracy zdobyli swą rutynę pedagogiczną, nie zwiększyła się po wojnie, a raczej przez wojnę uległa zmniejszeniu. Ci, którzy pozostali, pracują wszyscy nadzwyczaj intensywnie, często ponad siły. Poświęcając się pracy nad młodzieżą rezygnują niejednokrotnie z osobistych ambicji estradowych, gdyż na własną pracę nie starcza im już czasu. Liczba ich jest zresztą znikoma, więc z konieczności zaangażowano do pracy ludzi o mniejszej rutynie pedagogicznej, bądź też, co gorsza, o niższych kwalifikacjach zawodowych. W efekcie wytworzył się nierówny poziom nauczania w różnych szkołach muzycznych tego samego typu i dlatego w konsekwencji — kto może, ucieka ze szkoły słabszej i przenosi się do ośrodka, w którym uczelnia muzyczna stoi na wyższym poziomie. Czynią tak czasem nawet ci, którzy tę „słabszą" szkołę mieli w tej samej miejscowości co i dom rodzinny, a więc pozostając w niej mieliby bez wątpienia lepsze warunki życia i nauki. Mimo to wolą oni wyjechać do innego miasta i zamieszkać w domu akademickim, a w zamian mieć pewność, że znajdują się w dobrych rękach.

Powiedzieliśmy „zamieszkać w domu akademickim". Otóż to — dom akademicki czy bursa, to też bardzo ważna kwestia w życiu młodzieży muzycznej, kwestia ciągle jeszcze nie rozwiązana we właściwy sposób. Nie idzie tu o brak zainteresowania — wiemy wszyscy, jak bardzo troszczy się Państwo o sprawy bytowe studiującej młodzieży. Rosnąca wciąż liczba burs i domów akademickich, coraz szersza akcja wczasów studenckich, ogromne sumy przeznaczane na stypendia świadczą o tym aż nadto wyraźnie. Ale ciągle za mało zwraca się uwagi na to, że zawód muzyka różni się dość poważnie od innych zawodów choćby przez to, że z natury swojej jest — dość hałaśliwy. Wydaje się więc słuszny następujący postulat: dla młodzieży muzycznej muszą istnieć osobne bursy i domy akademickie, przy czym liczba lokatorów jednego pokoju nie może przekraczać dwóch. Akademicki dom muzyczny powinien być zaopatrzony w dostateczną ilość instrumentów: fortepianów i pianin — do ćwiczeń. Jak dotąd, bursy i domy akademickie rozporządzają nie wystarczającą ilością instrumentów, których dodatkowo jakość pozostawia bardzo wiele do życzenia. Jest to zresztą bolączka bardziej ogólna, bo również w niektórych szkołach muzycznych znajdują się instrumenty nie bardzo już nadające się do użytku.

Wspomniałem o nierównym poziomie nauczania w szkołach muzycznych. Zjawisko to staje się, być może, najniebezpieczniejsze w dziedzinie studiów śpiewaczych. Dobrych pedagogów wokalistów mamy niestety mało, natomiast wydział wokalny istnieje przy każdej niemal szkole muzycznej. A pamiętać trzeba, że źle uczonego młodego pianistę, czy skrzypka można zwykle „naprawić" jeżeli istotnie ma on w tym kierunku zdolności, natomiast niewłaściwie prowadzone początki nauki śpiewu częstokroć przekreślają całkowicie możliwości rozwojowe adepta. I tu leży, wydaje mi się, przyczyna faktu, że tak mało mamy naprawdę dobrych artystów-śpiewaków. Bo talentów śpiewaczych nigdy w Polsce nie brakowało — to rzecz pewna.

Ważna jest też sprawa pracy zarobkowej studentów szkół muzycznych — mam na myśli regularną pracę w chórach, czy też orkiestrach. Z jednej strony praca studenta w jakimś zespole odbija się z pewnością ujemnie na jego postępach w nauce, z drugiej zaś wielu studentów ma już rodziny na utrzymaniu i zwykłe stypendium nie rozwiąże im sprawy materialnego bytu.

I wreszcie ostatnia sprawa. Czy nie powinno powstać u nas czasopismo młodzieżowe poświęcone głównie sprawom muzycznym? Zwracam uwagę, że jak dotąd nie mamy w Polsce żadnego w ogóle czasopisma muzycznego o charakterze aktualnym, informującego o bieżących wydarzeniach z życia muzycznego zarówno w kraju, jak też za granicą, zamieszczającego recenzje z koncertów, obszerniejsze omówienia naszych dzieł itp. Nie spełnia tej roli w żadnym wypadku miesięcznik „Muzyka" tym bardziej, że ukazując się przeważnie z paromiesięcznym opóźnieniem ma raczej charakter archiwalny, ani też żaden z periodyków poruszających na swych łamach zagadnienie kultury.

Jerzy Wojciechowski

O SPRAWACH MŁODEGO MALARZA

DUŻO mówi się ostatnio o ciężkiej doli młodych malarzy. Warunkuje ją wiele czynników. Może najpoważniejszym jest bardzo duża ilość plastyków, zrzeszonych w Związku Plastyków i amatorów niezrzeszonych, ale również utrzymujących się z prac plastycznych. Po wojnie opuściło tylko warszawską ASP i WSSP ok. 500 dyplomantów, którym Min. Kultury i Sztuki nie może zapewnić zarobkowania w swoim zawodzie. Oblegają oni Pracownie Sztuk Plastycznych (PSP), Przedsiębiorstwo Wystaw i Targów (PWiT), różne wydawnictwa itp. Tymczasem ilość studentów przyjmowanych na wyższe uczelnie plastyczne ciągle jest bardzo duża. Wielu studentów dostaje się na uczelnię przypadkowo, a selekcja w czasie studiów jest niedostateczna. Studentów przeciąga się z roku na rok prawie automatycznie. Przechodzą na rok następny nawet tacy, u których trudno byłoby znaleźć jedną możliwą pracę na doroczną wystawę. Dobre serca spełniają tu bardzo złą rolę. Przykro jest mówić o tym, że można znaleźć na Akademii Warszawskiej i takich profesorów, którym wychowanie młodych plastyków mniej leży na sercu, niż zdobycie najwygodniejszych pozycji w świecie plastycznym. Przewinęli się też przez Akademię profesorowie, którzy będąc złymi pedagogami niszczyli nie tylko wrażliwość plastyczną u swoich studentów, przydzielanych bez możliwości wyboru do ich pracowni, ale odbierali im także chęć do dalszej pracy.

Na nowootwartej przeorganizowanej Galerii Malarstwa Polskiego w Muzeum Narodowym możemy oglądać prace takich malarzy jak Makowski, Boznańska, Waliszewski, Czyżewski i wielu innych. Są to prace ludzi, którzy całe życie malowali, którzy żyli tym, co robili, ich dorobek stanowi wartość bardziej wyraźną w zestawieniu z wieloma płótnami w dalszych salach malarstwa współczesnego robionych dla pompierstwa, dla pieniędzy.

Na Warszawskiej Okręgowej Wystawie Związku Plastyków, która odbyła się w listopadzie - grudniu 1954 r. można było po raz pierwszy zobaczyć dużo prac osobistych takich malarzy jak: Zaremba - Cybisowej, Winnickich, Jonscher, Panasa, Lebensztejna, Szczepańskiego, Wilczyńskiej, Rudowskiej i innych. Połowa wymienionych tu nazwisk należy do zupełnie młodych malarzy.

Wystawa ta wzbudziła wiele optymistycznych nadziei, nie mówiąc tu o osiągnięciach poszczególnych malarzy — było tam wystawionych nareszcie dużo prac ciekawych, malowanych wrażliwie i nie „na wystawę". Można było skonfrontować prace różnych autorów mniej i więcej znanych. Były prace sygnowane uznanymi dawno nazwiskami jak Arcta czy Eibischa, które swym sentymentalizmem przypominały raczej pocztówki. U Cybisowej, Winnickich, Jonscher, Lebensztejna, Panasa widać było poszukiwania bardziej plastycznego wyrażenia na płótnie własnych przeżyć natury w połączeniu z wiedzą malarską.

Wejście w świat plastyków, warunki debiutu są bardzo ciężkie dla młodych, odrzucanych z wystaw, podczas gdy uznanym już plastykom przyjmuje się nawet i bardzo słabe prace. Starzy plastycy pilnują swych ustalonych od lat pozycji, obwarowanych ze wszystkich stron przez grupę „uznanych", która jest w Jury, w Komisji Zakupów, ustala nagrody i wyróżnienia, decydując, siłą rzeczy, o wszystkim.

Doszliśmy wreszcie do sprawy może nie najważniejszej dla młodego plastyka, ale decydującej o dalszej jego pracy. Dyplom ASP praktycznie nic nie daje. Młodzi malarze, którzy chcą żyć ze swojej pracy artystycznej, z malowania, ze sprzedaży obrazów — dochodzą nieraz do wielkiej nędzy. Akademia wyrzuca co rok pokaźną ilość takich rozbitków, których, jeżeli chcą realizować swoje osobiste malarskie koncepcje, czeka bardzo ciężka droga wśród nieprzychylnych starszych, którzy osiedli już na szczęśliwych i jałowych laurach. Urzędnicy dokonujący zakupów, wybierają przede wszystkim prace sygnowane znanymi im już nazwiskami, nie zadając sobie trudu szukania prac o największych wartościach artystycznych. Utrzymywanie się wyłącznie ze sprzedaży obrazów jest prawie niemożliwością. Jakże często w wydawnictwach i redakcjach rozmawiają z plastykami ludzie, którzy oceniają, czy dane prace mogą być przyjęte, nie mając na ogół poważniejszych danych do decydowania o tych sprawach, traktują młodego malarza bardzo „z góry" i decyzje ich są kapryśne, chimeryczne. Tak rozwiązują się sprawy, od których zależy możność całkowitego lub częściowego utrzymania plastyka.

Jednym z najbardziej ponurych problemów jest sprawa pracowni — koniecznej każdemu malarzowi, który chce realizować dużo, śmiało, szeroko. Aby zdobyć nagrodę czy wyróżnienie na Wystawie Ogólnopolskiej trzeba przecież już dużo malować (chociaż to samo nie wystarczy), a żeby malować trzeba mieć na to jakie takie pomieszczenie z dobrym światłem.

Te wszystkie problemy nie mają ciągle rozwiązania, a nawet sprawa dostania przydziału pracowni jest coraz trudniejsza.

Nie chcielibyśmy, żeby ktoś po przeczytaniu tej wypowiedzi pomyślał sobie: Aha, młodzi chcą się po prostu urządzić tak samo jak „starzy". W ogóle nie jest to pisane przeciwko „starym", lecz po prostu próba wypowiedzenia się w imieniu tych, którzy chcą malować, wypowiedzieć się plastycznie, chcą dać z siebie maksimum, a w zamian chcą znaleźć swoje uczciwe miejsce wśród innych ludzi pracy.

Teresa Grykówna

Krajobraz bywa cierpieniem

(Dokończenie ze str. 3).

warowych wiozących Żydów na miejsce straceń. Młody Niemiec, Otto, udziela narratorowi wyjaśnień: „To odwszanie" — odpowiedział mi spokojnie. — Trzeba już prędko skończyć z tym żydowskim robactwem. To idzie prędko, tutaj, o kilkanaście kilometrów stąd. Elektrycznością lub gazem — zdaje się. Och, nie cierpią wcale. W ciągu jednej sekundy znajdują się już w niebie..." Tylko tyle. Gascar umie rozmieszczać pointy. Jego wstrzemięźliwość pisarska czasem przeraża. Lidię widzimy tylko raz — raczej jej sylwetkę, gdy upadając ze zmęczenia popycha po nasypie wagonik z ziemią. Tragedia żydowska przemawia kilkoma tylko scenami. Niemcy — kilka zaledwie portretów. A jednak groza narasta podczas tej lektury.

W pewien czas po wymordowaniu Żydów w okolicy — jeden z Francuzów, grabarzy, znajduje na dnie „zapasowego" grobu ślady ludzkiej obecności. Najwidoczniej ktoś przebywa w nim w nocy. Okazuje się, że jest to znajomy Żyd, Lebowicz, który zdołał ujść z rąk oprawców. Przez pewien czas toczy się dziwaczna korespondencja z tropionym człowiekiem znajdującym schronienie w grobie. Ponieważ grób za dnia zostaje przeważnie wykorzystany, przeto zbieg następnej nocy musi przenieść się do następnego i odbywa w ten sposób makabryczną i groteskową równocześnie podróż. Chłopcy pozostawiają mu skrawki papieru, w ten sposób otrzymują wiadomości od niego — jedynego żywego wśród zmarłych. „Wiem dobrze — piszę — że pewnego dnia nie wstanie już dla mnie poranek. Ostatniej nocy godzinę całą uderzałem w ścianę ziemi, w stronę, gdzie leżą pozostali... Mówię godzinę, ale mój zegarek już nie idzie. Chciałbym walić całą noc, wiem wtedy, że żyję... Już wszystkich mi pomordowali, Piotrze, wszystkich... Czy wiesz, co to jest samotność?" Po pewnym czasie korespondencja zamiera, chłopcy odnajdują na dnie grobu marynarkę zbiega, nie wiadomo, czy został zaskoczony, czy uległ atakowi szaleństwa. Lecz ten ostatni okrzyk rozpaczy, jak wyrzucona przez rozbitka na fale oceanu butelka z wezwaniem do ludzi — zdaje się zawisać nad ostatnimi stronami „Czasu umarłych".

Być może, należy mieć żal do Gascara, że nie pogłębił społecznie, historycznie spraw nakreślonych tylko surowymi konturami, że książkę swoją zamknął ponurym finałem i powracającym stale motywem „okrutnego pejzażu", świadka tragedii ludzkiej. Być może, ale nie przekreślajmy znaczenia „butelek rzuconych w morze". To one, to prawdziwy tragizm liczy się podwójnie w kulturze i spełnia swą rolę. Tak jak spełnia ją już dzisiaj ta książka, odmienna, francuska kreacja „Medalionów".

Konrad Eberhardt

O INDIANACH*)

W pierwszym okresie podbojów kolonialnych dużą rolę odegrała Hiszpania. Po odkryciu przez Kolumba w 1492 r. Ameryki ekspansja hiszpańska skierowała się z natury rzeczy na ten kontynent. Zważywszy, że królestwo Ferdynanda i Izabelli było w owym okresie krajem na wskroś katolickim, duże znaczenie może mieć odpowiedź na pytanie, jak się zapatrywali na politykę podbojów myśliciele katoliccy, przede wszystkim zaś przedstawiciele Kościoła.

Jedni z nich, jak np. biskup Fonesca, Quevedo, Calcaghino i inni, reprezentowali katolicyzm oportunistyczny i gdyż korzyści własnego kraju gotowi byli patrzeć przez palce na krzywdę wyrządzaną ludom kolonialnym. Lecz obok nich byli i tacy, którzy pod adresem tej zaborczości wysuwali daleko idące zastrzeżenia. Najwięcej stosunkowo wątpliwości co do tytułów hiszpańskiego władztwa w Ameryce mieli dominikanie. Można tutaj wymienić tak wybitne postacie, jak kardynała Tomasza de Vio Kajetana, autora słynnego komentarza do Summy Teologicznej św. Tomasza z Akwinu, Bartłomieja de Las Casas i Franciszka De Vitoria.

Spośród nich Las Casas, który wytrwale i z wielkim zapałem bronił Indian oraz surowo potępiał postępowanie Hiszpanów w Ameryce, był przedstawicielem katolicyzmu bezkompromisowego. Gdyby Hiszpania uznała jego poglądy musiałaby od razu wyrzec się swych posiadłości w Ameryce. Nieco inne stanowisko zajmował De Vitoria.

Ten znakomity teolog katolicki z pierwszej połowy XVI w. pochodził z północnej części kraju. Bardzo wcześnie wstąpił do zakonu dominikańskiego gdzie rozpoczął naukę. Później studiował w Paryżu, przy czym stał się gorącym wielbicielem św. Tomasza z Akwinu. Po powrocie do Hiszpanii został najpierw profesorem kolegium dominikańskiego w Valladolid, aby po pewnym czasie otrzymać tzw. pierwszą katedrę teologii na uniwersytecie w Salamance. Stworzył tam szkołę, która wydała wielu wybitnych pisarzy, a wśród nich jednego z postępowych myślicieli katolickich, dominikanina Dominika Soto, autora znanego dzieła pt. DE IUSTITIA ET IURE (1556).

Sam De Vitoria zostawił kilka dzieł. Dowodził w nich m. in., że papież powinien mieć władzę w sprawach duchownych, a w sprawach świeckich tylko o tyle, o ile są związane z dziedziną duchową; wyprowadzał prawo narodów z prawa natury, opierając na nim także inne swe ujęcia prawnicze, i rzucił pewne myśli o konieczności utworzenia jakiejś nadrzędnej ponadpaństwowej organizacji. Spośród tych dzieł duże znaczenie mają zwłaszcza RELECTIONES, tj. spisane przez słuchaczów wykłady publiczne, wygłoszone dla całego uniwersytetu. Ale największym bodaj rozgłosem i wpływem cieszą się dwie RELECTIONES DE INDIS, czyli wykłady o Indianach z 1539 r.

Głosząc zasadę równości ludzi i równości wszystkich państw oraz potępiając niesprawiedliwe wojny twierdził De Vitoria, że Indianie mają prawo do wolności osobistej i do własności na równi z Europejczykami, oraz uznawał państwa indiańskie za równouprawnione z państwem hiszpańskim. Odrzucał tytuły prawne do przywłaszczania ziem Indian, dowodząc, że podboju tych ziem nie uzasadnia ani pogaństwo plemion indiańskich, ani ich niższość kulturalna, ani cesarskie czy papieskie nadania, które nie są zgodne z prawem natury.

Jednakże występując przeciw podbojowi Indian De Vitoria przyznawał w stosunku do nich Hiszpanom różne prawa, m. in. prawo przebywania w kraju Indian i prawo prowadzenia z nimi handlu. Ujmował to tak, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy, że ów swoisty handel prowadził do całkowitej zależności gospodarczej Indian i że ta z kolei musiała pociągnąć za sobą ich uzależnienie polityczne. Pewne części jego wywodu wydają się — jak pisze ks. M. Żywczyński — niemal sofistyką, przy pomocy której można było właściwie usprawiedliwić wszystkie gwałty konkwistadorów. Istotnie, w dziele De Vitoril znajdujemy takie miejsca, w których... przestaje on być teologiem rozważającym omawiane przez się zagadnienia ze stanowiska moralności chrześcijańskiej, przekształca się zaś w polityka popierającego egoistyczne interesy hiszpańskie. Jest to niewątpliwie niekonsekwencja i rozdwojenie w postawie tego pisarza.

Mimo takiego rozdwojenia i niekonsekwencji dzieło De Vitorii jest ciekawe i cenne. Jakkolwiek bowiem autor jego nie zachowywał w dziedzinie gospodarczej i politycznej postawy jednolitej, to jednak — jak stwierdza ks. Żywczyński — nie próbował osłaniać szatą katolicką tego, co z katolicyzmem niewiele miało wspólnego, nie próbował podboju obcych krajów i niesprawiedliwej wojny usprawiedliwiać w imię wiary, w imię katolicyzmu, choć tak przecież często robiono w średniowieczu. Innymi słowy, traktat De Vitoril dowodzi, że przy pomocy argumentów zaczerpniętych z nauki Kościoła nie można uzasadnić zaborczości kolonialnej, że wszystkie tytuły religijne tu odpadają, a pozostają tylko względy polityczne i gospodarcze. A więc dzieło „O Indianach" nie tylko naświetla w pewnym stopniu postawę ówczesnego kościoła hiszpańskiego wobec problematyki kolonializmu, ale ułatwia także katolikom dzisiejszym wyrobienie poglądu na podobne aktualne zagadnienia. Na tym polega dziś jego wielkie znaczenie.

Toteż słusznie postąpił Instytut Wydawniczy „Pax" uprzystępniając obok Las Casasa to właśnie dzieło polskim czytelnikom.

Gładki przekład Józefa Modrzejewskiego sprawia, że czyta się je łatwo i przyjemnie. Wartość wydawnictwa podnosi wnikliwy a przejrzysty wstęp księdza profesora Mieczysława Żywczyńskiego, będący doskonałym wprowadzeniem, które ułatwia należyte zrozumienie i ocenę poglądów teologa hiszpańskiego.

W. K.

*) Francisco De Vitoria. O Indianach. Pax. Warszawa, 1954, str. 93. Przedmowa: ks. Mieczysław Żywczyński.

Aktualia księgarniane

DZIŚ: BEZ BELETRYSTYKI

Zajmowaliśmy się dotąd niemal wyłącznie nowościami beletrystycznymi. Wypada więc zrobić od czasu do czasu „dzień bez beletrystyki" i zająć się dotychczasowym „kopciuszkiem" w naszych omówieniach: wydawnictwami naukowymi lub stojącymi na pograniczu dzieła naukowego i literackiego. Zwrócmy uwagę przede wszystkim na pozycje najbardziej interesujące i aktualne, tj. znajdujące się jeszcze na półkach księgarni.

Jak z przysłowiowego „rogu obfitości" sypnął ostatnio „PAX", wypuszczając na rynek jednocześnie cały szereg nie beletrystycznych nowości.

Na pierwszym miejscu wymienić należy oczywiście trzy najsławniejsze w literaturze tego rodzaju „utopie". Łatwo się domyślić, że chodzi tu o „Utopię" TOMASZA MORE, „Państwo Słońca" TOMASZA CAMPANELLI i „Nową Atlantydę" FRANCISZKA BACONA. Fakt wydania tych tak rzadkich w naszych bibliotekach i nieznanych przez ogół dzieł — jest dużym i niewątpliwym wydarzeniem. Wydarzeniem nie tylko edytorskim, ale i ogólnoliterackim. Zbliżenie współczesnemu czytelnikowi, żyjącemu w kraju zmierzającym do socjalizmu, trzech różnych, lecz bliskich sobie w zamierzeniu i celu — koncepcji zmiany warunków społeczno-gospodarczych, — jest dziełem zasługującym na pochwałę, zapoznającym czytelnika z postępową myślą społeczną dawnych wieków.

Niezmiernie ciekawą pozycją dla każdego, kto interesuje się życiem polityczno-społecznym naszego kraju, jest wybór publikowanych na przestrzeni lat 1945 — 1952, na łamach „Dziś i Jutro" artykułów BOLESŁAWA PIASECKIEGO pt. „Zagadnienia istotne".

„Manna i chleb" JANA DOBRACZYŃSKIEGO — to opracowany literacko, syntetyczny skrót dziejów Starego Testamentu. Eksperyment wydawałoby się dosyć ryzykowny, podjęty jednak przez takiego znawcę zagadnień biblijnych, pisarza tak „uczulonego" na dzieje biblijne, jak Jan Dobraczyński — udał się w zupełności. „Manna i chleb" przyczyni się niewątpliwie wydatnie do popularyzacji Starego Testamentu wśród szerokich rzesz katolików polskich. Pokrewnym tematycznie, choć innego gatunku dziełem jest „Wprowadzenie do ksiąg Starego Testamentu" ks. CZESŁAWA JAKUBCA.

Książką (a raczej grubą 800-stronicową „księgą"), która powinna się znaleźć przede wszystkim w rękach księży i inteligencji katolickiej, jest wydane również przez „PAX" „Życie Jezusa Chrystusa" GIUSEPPE RICCIOTTIEGO. Czytelnikom PAPINIEGO, MAURIACA czy DANIEL ROPSA opracowanie wybitnego włoskiego historyka może się wydać zbyt „suche" i „naukowe". Błędne jednak byłoby umniejszanie z tego powodu — jego wartości. Biografia Chrystusa, pióra RICCIOTTIEGO jest bardziej niż inne, dotychczasowe — pogłębiona socjologicznie i historycznie. Zajmuje się również zagadnieniami politycznymi, gospodarczymi, obyczajowymi współczesnej Chrystusowi Ziemi Świętej. Ustawia postać Chrystusa w szerokich ramach ludzkiej doczesności.

Cenną nowością z zakresu epistolografii są „Listy" jednego z najwybitniejszych Ojców Kościoła ŚW. GRZEGORZA WIELKIEGO.

Niewielki tomik „O Indianach" FRANCISCO DE VITORIA — to ciekawy traktat dominikanina hiszpańskiego, wybitnego uczonego z początków XVI wieku, traktat, w którym autor, humanista i społecznik, szczerze przejęty smutnym losem podbitych przez Hiszpanów Indian południowo-amerykańskich, staje w ich obronie i walczy o uznanie ich prawa do ziemi ojczystej.

Do wymienionych dotychczas pozycji dorzucić należy drugi tom „Wstępu do nauki o literaturze" prof. STEFANII SKWARCZYNSKIEJ, znanego i cenionego katolickiego teoretyka literatury.

I jeszcze jedna pozycja „PAX"owska, prawdziwy „rodzynek"! Głośna, z niecierpliwością i zainteresowaniem oczekiwana, a znana dotąd tylko z omówień i fragmentów „Geografia głodu" JOSUE DE CASTRO. Przypomnieć warto, że autor przez długi czas był „specem" od spraw ekonomiczno-gospodarczych przy ONZ. W czasie swej kilkuletniej pracy zebrał mnóstwo rewelacyjnych szczegółów i faktów, z których wynika, że 2/3 ludzkości cierpi chroniczny głód. Środki zaradcze proponowane przez De Castro są nierealne, niemniej jednak dzieło jego przejdzie chyba do „klasyki" w literaturze ekonomicznej. Takim właśnie „klasycznym" dziełem — radośnie przyjętym przez wszystkich ekonomistów — jest wydane ostatnio przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (w ramach „Biblioteki Dzieł Ekonomicznych") dzieło jednego z czołowych przedstawicieli „angielskiej szkoły klasycznej" (XVIII—XIX w.), ADAMA SMITHA: „Bogactwo narodów" — czyli „Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów" (2 opravne tomy).

Z dużym zainteresowaniem zostały przyjęte „Dzieła wybrane" MAO TSE-TUNGA („Książka i Wiedza"). Dwa obszerne tomy zawierają pisma wielkiego przywódcy narodu chińskiego, będącego zarazem uczonym i pisarzem z zakresu polityki, socjologii, ekonomii, strategii wojennej i innych dziedzin.

W związku z nie tak dawno obchodzoną 10 rocznicą wyzwolenia Warszawy PIW wydał wspaniały na kredowym papierze, oprawny album (będący antologią ilustracji i tekstów) pt.: „Warszawa wieku oświecenia". Książkę - prawdziwy „rarytas" bibliofilski opracowali: JAN KOTT i ST. LORENTZ.

Zamiast omówienia wystarczy kilka słów z przedmowy: „Książka ta jest tylko wyborem ilustracji i tekstów. Ale oto niespodziewanie dla wydawców wybór ten urósł do wielkiej, ilustrowanej powieści o Warszawie, powieści obyczajowej, powieści społecznej, więcej nawet, w swoich ostatnich rozdziałach, do pasjonującej powieści politycznej..."

Zbigniew Dolecki

rozszerzyć wskazaniem jeszcze dwóch pozycji. Przedtem — jeszcze jedna uwaga. Wspomniawszy ojcą naszej sceny, W. Bogusławskiego, oraz w związku z ostatnią wizytą paryskiego teatru J. Vilara nie mogę sobie odmówić przyjemności przypomnienia, że nasz Bogusławski parał się jako tłumacz... „Don Juanem", przekładając jakąś francuską czy włoską wersję molierowskiego tematu pt. „Don Juan czyli libertyn pokarany" (wyd. u Gröllа w r. 1783). Może warto by sięgnąć po ten tekst i zastanowić się nad...

O pierwszej pozycji doprawdy aż żenuje pisać, bo wstyd mi za ludzi teatru, którzy do tej pory chyba (do diabła!), nie wiedzą, że... Bez wstępów: mam na myśli dramat wielkiego żyjącego poety, L. Staffa pt. „To samo", napisany ok. r. 1911. Nie wdaję się w analizę tej sztuki. Gdybym ją streścił, nikt nie sięgnąłby po książkę i kto wie, ile lat poleżałaby tam w błogim spokoju czy zniecierpliwieniu. Jedno jest niewątpliwe: że utwór ten odbiega zdecydowanie od charakteru i koncepcji wcześniejszych staffowskich „Godiw" czy „Skarbów", wychodzących z kręgu moderny. Staff jest tu zdecydowanie na pozycjach realizmu krytycznego. Nie trudno wskazać pewne podobieństwo tematyczne i ideologiczne parantele — chociażby z późniejszymi nieco (1913) „Ruchomymi piaskami" P. Choynowskiego (problem deklasacji rodziny ziemiańskiej i jej moralna degrengolada na miejskim bruku). Dramat ten — gwoli informacji — doczekał się trzech wydań, był grany m. in. we Lwowie i w Krakowie, jego stosunkowo krótki żywot sceniczny wiąże się z nazwiskami L. Solskiego, K. Adwentowicza, Weycherta i in. wybitnych aktorów.

Kolejnym utworem scenicznym zasługującym choćby na częściową adaptację radiową czy nawet przekartkowanie jest Andrzeja Galicy, poety Podhala, autora o dość bujnym życiorysie — „Robert Szporn". Jest to wstrząsająca historia strajku górników śląskich z pierwszych lat XX wieku. Pewne pęknięcie ideologiczne finału, spychające silnie i kapitalnie rozpięty konflikt o podłożu klasowym na rzecz psychologicznych powikłań bohatera dałoby się z łatwością uzdrowić. Wartość tego utworu podnosi i to, że jest to sceniczna kronika bohaterskiej walki klasy robotniczej Śląska. Zdaje się, że niewiele mamy w historii dramatu polskiego podobnych zabytków. Mimo wszystko powyższe uwagi dedykuję teatrom śląskim. Nie uwzględniałem tutaj naszej dramaturgii międzywojennej, której poświęcić należy osobny artykuł.

Zapomnianymi sztukami z kategorii wymienionych i im podobnych z pewnością nie spowodujemy wielkiego teatru współczesności. Ale naszym obowiązkiem jest pieczołowicie odgrzebywać każdy twórczy ślad polskiej kultury, przywoływać przed oczy widza czy czytelnika wszystko, co pomaga żyć, myśleć, pracować.

Stanisław Christian

Dżerba — wyspa piżma i... głodu. Położona w zatoce Gabes była przed kilku laty schronieniem dla niedobitków korpusu afrykańskiego Rommla i celem dla bombowców amerykańskich. Dzisiaj ciszę ruin z rzadka tylko zakłóca krok przechodnia. Nieliczni mieszkańcy opuścili miasto; wolą nędzne lepianki nad zatoką — tu przynajmniej można zarobić na garść daktyli...

Tędy podróżowali Livingstone i Stanley. Poznawali życie, zwyczaje i kulturę tubylców. Potem przyszli kolonizatorzy. W sudańskiej wiosce Lotuko wiele zmieniło się od tego czasu... na gorsze. Tylko myśliwi, jak dawniej wyruszają z dzidami na łowy, by zaspokoić głód.

GDZIEŚ W AFRYCE...

Afryka to nie tylko dzika, wspaniała dżungla i zielone oazy na pustyni. To nie tylko Murzyni z Kamerunu, Berberowie z gór Atlasu, Pigmeje z Konga. Afryka — to również kraina ucisku i głodu. W AFRYCE — pisał de Castro — NIE MA ZAKĄTKA ZIEMI, GDZIEBY NIE ZAZNANO GŁODU. W ZJAWISKU GŁODU DOSZUKAĆ SIĘ MOŻNA JEDNEGO Z POWODÓW ZACOFANIA.

A przecież biali wywożą stamtąd kakao, złoto, kość słoniową, diamenty, skóry zwierząt i wężów, daktyle i oliwki... W zamian za to ofiarują jednak ucisk i wyzysk gospodarczy. I to nazywa się ich „polityką kolonialną". Ona właśnie jest przyczyną nędzy ludzi z czarnego kontynentu.

NA dworzec w Durbanie wjeżdża pociąg. Sześć lużnych, pulmanowskich wagonów ma przez całą szerokość wymalowane napisy *„Europeans only"*. Z czterech dalszych, towarowych wylewa się tłum czarnych. Dwa osobne wyjścia. Przy tym dla białych zamieszanie: policja aresztuje Murzyna, który chciał przez nie wyjść. Przed dworcem szereg rikszarzy zaprzężonych w Zulusów z teatralną czapą z piór na głowie, którzy słaniają się z nadludzkiego w tym parnym klimacie wysiłku. Nieco dalej posterunkowy kłuje bagnetem czarnego za nieprzepisowe przejście przez jezdnię. W kiosku gazety. Kronika sądowa: *Anglik Neville Ormond został skazany wyrokiem sądu okręgowego w Capetown na trzy miesiące więzienia za zawarcie małżeństwa z kolorową dziewiętnastoletnią dziewczyną. Związek został unieważniony, mimo że żona była w ciąży.*

Taki obraz przedstawiała „od rogu" Południowa Afryka w dniach rządów dra Malana. Ten reprezentant ideologii Herrenvolku robił wszystko, aby prześcignąć Hitlera w dyskryminacji rasowej. Powstawały obozy koncentracyjne, sądownictwo i prywatne więzienia dla czarnych, pracujących na plantacjach; w kopalniach złota i miedzi nie przestrzegano najprostszych zasad ochrony życia. Polityka *„apartheid"* przyniosła Murzynom piekło na ziemi. Zdawało się, że nie może być gorzej. A jednak w upalny ostatni dzień listopada sprawdziło się przysłowie — „nie ma tego złego, coby na gorsze nie wyszło". Fanatycy nacjonalistyczni uznali, że dr Malan prowadzi dyskryminację rasową jeszcze zbyt łagodnie i powołali na stanowisko przewodniczącego swej — rządzącej — partii przedstawiciela najbardziej faszystowsko nastrojonej prowincji, Transvaalu. Na drugi dzień gubernator generalny zatwierdził p. Strijdoma na stanowisku premiera Unii.

Objęcie przez niego władzy jest równoznaczne z wysunięciem, w ostrej formie, wszystkich doktryn skrajnych nacjonalistów... Należy oczekiwać, że p. Strijdom będzie bez żadnych kompromisów forsował politykę „apartheid" i posłuży się każdym środkiem, w celu przezwyciężenia zastrzeżeń zawartych w konstytucji, które stoją temu na przeszkodzie. Zwłaszcza postara się o dokonanie następnej próby pozbawienia kolorowych prawa wyborczego. Tak pisał londyński „Times" 1 grudnia ub. roku. I nie mylił się. Inna sprawa, że gorzki ton prasy angielskiej nie tyle spowodowany jest troską o ludność tubylczą, co zaniepokojeniem o los wpływów brytyjskich. *Nie ma sensu udawać, że wybranie p. Strijdoma premierem jest mile widziane i nie jest poważnym uderzeniem w brytyjskie wpływy i interesy w w Afryce Południowej* — stwierdzał trzy dni później „Economist".

Niemniej przewidywania gazet brytyjskich były słuszne. Potwierdził je wkrótce sam Strijdom, podkreślając w przemówieniu radiowym, iż wprowadzenie pełnej polityki *„apartheid"* — z przesiedlaniem tubylców włącznie — należy przyspieszyć i rozszerzyć. Zdaniem jego jest to *niezbędne zarówno dla ochrony rasy białej, jak stworzenia zdrowych stosunków rasowych i uniknięcia tarć.*

Czy jednak nic nie przeszkodzi p. Strijdomowi w jego „ambitnych" planach? Czy rację mają oryginalni interpretatorzy Biblii, twierdzący, że lud afrykański stworzony został jedynie do słuchania rozkazów? Niewątpliwie w Afryce Południowej nie ma jeszcze zorganizowanej walki o sprawiedliwość społeczną, walki zbrojnej, takiej, jaka toczy się w Kenii czy na Malajach.

Ale powierzchnia układu stosunków społecznych w tym kraju nie jest niezmącona. I chociaż budząca się świadomość ludu nie daje jeszcze powodu do sensacyjnych a trwożnych nagłówków w prasie brytyjskiej, to jednak — spójrzmy na niektóre fakty.

W końcu stycznia i na początku lutego 950 r. w zamieszkałej przez Murzynów części Johannesburga doszło do starć ulicznych między robotnikami a policją. Na ulicach ukazały się barykady. Policja była bezsilna i dopiero wojsko w pełnym uzbrojeniu zdobyło dzielnicę w regularnej walce.

W tym roku w wielu miastach Unii odbyły się tłumne — mimo policyjnego zakazu — manifestacje 1-majowe.

W kwietniu 1951 r. odbyła się w Johannesburgu Konferencja Obrońców Pokoju z udziałem około 400 delegatów. Do utworzonej tam Transvaalskiej Rady Pokoju weszły organizacje liczące łącznie 170 tysięcy członków.

W latach 1952 — 53 Afrykański Kongres Narodowy, w którym poważne wpływy ma ludność hinduska, zorganizował akcję biernego oporu na wzór Ghandiego. Protestowano przeciw godzinie policyjnej, przepustkom i zezwoleniom, dyskryminacji rasowej i segregacji na kolejach, w autobusach, na poczcie. Nie stawiano oporu przy aresztowaniach — ponad 8 tysięcy Afrykanów pozwoliło zaprowadzić się do więzienia.

P. Strijdom widzi to. P. Strijdom i jego zwolennicy boją się. A strach podszeptuje — „Nie ma czasu... Czarni budzą się... Trzeba działać... Niszczyć szybciej, dokładniej, od podstaw... Może jeszcze uda się utrzymać władzę białego nadczłowieka..."

Nowy rząd z miejsca rozpoczął swą rasistowską działalność. Z okrutną logiką hitlerowskiej myśli eksterminacyjnej rozpoczął od dzieci. I to w sposób boleśnie interesujący nas, katolików. Parlament afrykański uchwalił przedłożoną mu ustawę o nauczaniu tubylców — głównie plemienia Bantu — która nie tylko separuje dzieci afrykańskie od białych, ale postanawia, że w szkołach elementarnych będą one pozbawione wszelkiej nauki poza minimum koniecznym dla odbierania rozkazów i wypełniania pracy fizycznej. Równocześnie minister spraw tubylczych Verwoerd zapowiedział, iż nie będzie żadnego wyjątku od uchwalonego kilka miesięcy przedtem. „prawa Bantu", które pozbawia subsydiów rządowych zakłady naukowe misjonarzy katolickich wśród tego plemienia. Kościół katolicki — przypomnijmy w tym miejscu — prowadzi 800 szkół dla dzieci tubylczych, do których uczęszcza ponad 120 tysięcy uczniów. Minister zaatakował także organizacje kościelne za próby rozwijania oświaty wśród czarnych poza plecami rządu i niedwuznacznie zapowiedział represje. Kilka dni później w kościołach Unii Południowo - Afrykańskiej odczytano list pasterski biskupów tego kraju, nie tylko potępiający ustawę o nauczaniu tubylców, ale stwierdzający równocześnie zdecydowany zamiar utrzymania — bez względu na konsekwencje — katolickich szkół misyjnych.

Oprócz tego Przewodniczący Rady Administracyjnej Kościoła Katolickiego, arcybiskup Durbanu Hurley wydał oświadczenie, w którym czytamy ważkie i pełne godności słowa:

Kościół nie może zrzec się swej pracy oświatowej wśród tubylców wówczas, gdy przyszłość Afryki Południowej wyrąbywana jest mocnymi posunięciami „apartheid", które jak uderzenia młotem spadają na dusze Czarnych ludzi i sumienia Białych.

Tubylec znieść może bardzo dużo z pogodą i cierpliwością — niedożywienie, choroby, niskie zarobki, rozłąkę z żoną i rodziną — jednej rzeczy jednak nie zniesie na stałe, a mianowicie obelgi, jaką w jego oczach stanowi każda ustawa i przepis „apartheid".

Żądać od Afrykanina, aby wyrzekł się swego dziedzictwa, jest to żądać odeń, aby stał się mniej niż człowiekiem. Gdy ranicie duszę człowieka bez ustanku, powtarzając przy każdej okazji, że musi on być starannie odgrodzony od rezerwatu istot wyższych, dając do zrozumienia przez wasze słowa i czyny, iż musi on w sobie zarazę, nie dziwcie się, że serce jego napełni złość, gorycz i rozpacz. A co się stanie, gdy osiągnięty zostanie szczyt oburzenia?

List arcybiskupa kończy się tym pytaniem. Odpowiedź nie jest jednak zbyt trudna. Ukazane wyżej w reporterskim skrócie fakty wystąpień ludu afrykańskiego w walce o prawa do własnego kraju, w walce o egzystencję i poszanowanie godności ludzkiej dowodzą, że opór jest możliwy. Dowodzą — co więcej — że ruch ten wykazuje tendencje rozwoju. W tej perspektywie możemy spojrzeć optymistycznie w przyszłość ponurego dziś kraju naśladowców Hitlera. Niedługo już może Przylądek Dobrej Nadziei przestanie być li tylko nazwą geograficzną.

Janusz Stefanowicz

W spojrzeniu Murzyna z Kamerunu przebija smutek. Worek z kakao jest ciężki, ale jeszcze cięższa niewola francuska.

GILBERT KEITH CHESTERTON

ŚWIĘTO IMPERIUM

piosenka na lekcję geografii

Ziemia to miejsce, na którym się Anglia znajduje.
Znajdziecie ją zawsze, choć globus, gdy popchniesz, wiruje
Bo plamki — czerwone, a reszta — szara i mierna.
I taki jest właśnie sens Święta Imperium.

Gibraltar skalisty widzicie wyraźnie tu całkiem
(Okręg Hiszpanii doczepił się doń kawałkiem)
I wyspa Malta — ta dalej troszeczkę już leży,
Krajowców jej znano jako Maltańskich Rycerzy —
I Cypr, i Wschód aż po sam Kanał Sueski,
Co Mieczem Pańskim na sposób staroangielski
Wziął Disraeli z Rotszyldem, kolegą mu wiernym.
I taki jest właśnie sens Święta Imperium.

Główny nasz import Ziemię Ognistą opływał —
Z potrzeb — kakao, zboże — by zbytku zażywać.
Hindusi się rodzą, by dla nas przy ryżu pracować,
A Grekom kazali bogowie rodzynki hodować.
Z innych płodów ziemi jest też w czym wybierać:
Tytoń, benzynę, jazzband, czy bankiera.
Jazzband przeminie, bankier zostanie na serio.
I taki jest właśnie sens Święta Imperium.

Główny nasz eksport w pakach i z etykietą
Na krańcach ziemi nietknięty dochodzi do mety;
I mydło, i w puszkach łosoś nasz jeździć może
Takutki samiutki aż po polarne morze.
Gdy więc przyjdzie kupcom z Lancaster zachcianka
Klondike'czykowi piwo rozwodnią wnet w szklankach,
Bombajczykowi mięso zatrują bakterią.
I taki jest właśnie sens Święta Imperium.

tłum. Witold Ostrowski

Zamieszczona tutaj satyryczna „piosenka" Chestertona, to jeden z jego wielu wierszy komicznych. Przybierając naiwny ton młodzieży szkolnej wychowanej w angielskich tradycjach konserwatywnych, poeta wyraża niechęć do kapitalistycznego imperializmu.

KILKA SŁÓW

o filmie

NAGRODA FILMOWA IM. L. DELLUCA — PRZYZNANA CLOUZOTOWI

Dla uczczenia pamięci Louisa Delluca, wybitnego przedstawiciela francuskiego impresjonizmu filmowego — ustanowiona została w r. 1936 coroczna nagroda filmowa jego imienia. W roku bieżącym nagrodę Delluca uzyskał nowy film H. G. Clouzota: „Diablice".

FILMY DOKUMENTARNE O PISARZACH FRANCUSKICH

Francuscy „dokumentarzyści" przygotowują szereg filmów o życiu i twórczości najwybitniejszych przedstawicieli literatury francuskiej. Po niedawno ukończonym filmie o Balzacu — są w toku prace nad filmami o niedawno zmarłej pisarce Colette, o André Gide oraz o wielkim, francuskim poecie z okresu symbolizmu i surrealizmu — G. Apollinaire.

NOWY FILM RENE CLAIRA

Wybitny reżyser francuski René Clair przygotowuje obecnie nową wersję „Wielkich manewrów". Akcja filmu rozgrywać się będzie w małym, typowym miasteczku francuskim, w okresie — na krótko — przed pierwszą wojną światową. Film nakręcany będzie systemem „Cinémascope".

„ROMEO I JULIA" PROKOFIEWA NA EKRANIE

Studwudziestopięcioosobowy zespół baletowy moskiewskiego Teatru Wielkiego, absolwenci Szkoły Teatralnej im. Szczepkina oraz pracownicy Państwowego Urzędu do spraw Sztuki pracują nad filmem wg znanego baletu S. Prokofiewa „Romeo i Julia". W realizacji są także filmy opracowane na podstawie adaptacji scenicznych „Eugenii Grandet" Balzaca i „Madame Butterfly" Flauberta. W atelier leningradzkim nakręca się komedię wg szekspirowskiej komedii „Jak wam się podoba".

o teatrze

ZMARŁ CHRZEŚCIJAŃSKI DRAMATURG NIEMIECKI

Anton Franz Dietzenschmidt. Ten pisarz czesko-niemiecki, którego twórczość przerwał w r. 1933 hitleryzm, zdobył dużą popularność takimi utworami, jak dramat biblijny „Wypędzenie Hagar", legendy sceniczne „Podróż Jakuba" i „Św. Krzysztof", dramat „Noce Brata Witalisa", misterium „Siódma piękność Marii", tragedia o Judaszu „Zdrajca Boga", sztuka ludowa „O miłym Augustynku" (z muzyką Krenka), sztuka „Legenda oficyny". Dietzenschmidt, który uprawiał również krytykę teatralną, był laureatem nagrody im. Kleista oraz państwowej czechosłowackiej nagrody sprzed wojny za twórczość literacką w języku niemieckim.

TEMATYKA BIBLIJNA NA SCENIE

pojawia się coraz częściej i dorównuje już swą popularnością panującej do niedawna na scenach tematyce mitologicznej. Motywy biblijne ulegają przy tym, tak samo jak mitologiczne, silnej modernizacji, zarówno w ujęciu teatralnym, jak i w aktualnym wygłosie ideowym wyrażają dramaty współczesnego sumienia. Obok dramatów zmarłego właśnie A. F. Dietzenschmidta wspomnieć tu można Edzarda Schapera misterium o Golgocie, słuchowisko Dorothy Sayers o Ukrzyżowaniu, dramat Obey'a o Łazarzu, adaptację sceniczną powieści Lagerkvista „Barabasz". Do serii tej doszedł niedawno nader nowocześnie potraktowany dramat Rüdigera Syberberga o Malchusie, jednym z uczestników aresztowania Chrystusa, któremu poranywczy św. Piotr uciął ucho. Autor ukazuje Malchusa już jako cichego wyznawcę Chrystusa, zostaje on w końcu również ukrzyżowany. Dramat Syberberga pt. „Wenn das Korn stirbt" (Gdy ziarno zamiera) doczekał się prapremiery w teatrze w Gelsenkirchen.

„POKÓJ" ARYSTOFANESA W POCZDAMIE

Teatr im. Hansa Otto w Poczdamie wystawił w 2400-lecie urodzin Arystofanesa jego głośną komedię „Pokój" (Eirene). Reżyser Kurt Rabe posłużył się w swej inscenizacji swobodnym opracowaniem stworzonym jeszcze w r. 1917 przez Liona Feuchtwangera, w którym obok skreśleń dodanych jest wiele aktualnych okazji. Główną rolę attyckiego chłopa Dikaiopolisa, który dzięki winu pokoju zażywa w czasie wojny wszelkich radości właściwych pokojowi, gra Haunjo Hasse.

KSIĄŻKA O JANIE BAPTYŚCIE, MIMIKU XIX WIEKU

W serii „Le Théâtre et les jours", wydawanej przez paryskie wydawnictwo de l'Arche pod kierunkiem Jean Villara, ukazała się książka Tristana Rémy pt. „Jean Gaspard Deburan", poświęcona wybitnemu mimikowi francuskiemu XIX w. Deburan (1796—1846), którego życie było równie ciekawe jak sztuka — uprawiał w „Les Funambules" pod imieniem Jana Baptysty pantominę w typie dawnej arlekinady. Grywał m. in. w utworach Charles Nodiera, a podziwiali go m. in. Gautier i George Sand, książkę zaś o nim napisał już współczesny głośny krytyk teatralny Jules Janin. Przedmowę do książki Rémy'ego napisał odtwórca postaci Jana Baptysty w filmie „Ulica złoczyńców" — Jean Louis Barrault.

„CHATTERTON" ALFREDA DE VIGNY W WARSZAWIE

5 lutego w warszawskim Teatrze Ateneum odbyła się premiera nie wystawianej dotąd w Polsce sztuki „Chatterton" — Alfreda de Vigny — jednego z najwybitniejszych poetów francuskich epoki romantyzmu. Treścią sztuki jest głośna w swoim czasie tragedia młodego poety, który popełnił samobójstwo protestując w ten sposób przeciwko obłudzie moralnej mieszczaństwa angielskiego i obojętności wobec artysty.

W przedstawieniu reżyserowanym przez Jerzego Kaliszewskiego — udział biorą: A. Gordon-Gorecka, H. Barwiński, I. Dytrych, J. Felczyński, J. Kostecki, J. Klejer, M. Rufka i W. Sheybal. Oprawa sceniczna Z. Strzeleckiego.

Premiera ciekawej, nieznanej jeszcze u nas ze sceny sztuki, budzi duże zainteresowanie wśród publiczności. Z zadowoleniem mówi się o Teatrze Ateneum, który jako jeden z pierwszych przystąpił do wzbogacania swego repertuaru o nowe (nie tylko w znaczeniu nowej inscenizacji!) i ciekawe sztuki. Dyskusja o repertuarze w teatrze przynosi jednak owoce!

SCENA OBJAZDOWA ZIEMI MAZOWIECKIEJ

W pierwszej połowie stycznia rozpoczęła pracę w województwie warszawskim Scena Objazdowa Ziemi Mazowieckiej zorganizowana przy Państwowym Teatrze Ludowym. Jest to dopiero druga po Teatrze Ziemi Łódzkiej tego typu scena w Polsce. O potrzebie jej świadczy najlepiej ogromne zainteresowanie wśród mieszkańców województwa warszawskiego i duża frekwencja na kilkunastu dotychczasowych przedstawieniach.

Scena Objazdowa zainaugurowała swoje występy w Lesznie wystawiając „Moralność pani Dulskiej" w reżyserii St. Perzanowskiej z dekoracjami A. Sadowskiego. Przedstawienie należy do udanych. Jest w tym duża zasługa reżyserki, która potrafiła z dość młodym i nierównym zespołem stworzyć na scenie żywą akcję i oddać właściwie atmosferę domu Dulskich.

o muzyce

„DAWID" — OPERA MILHANDA W LA SCALA

Dariusz Milhand, autor „Stworzenia świata" i opery „Krzysztof Kolumb", kompozytor uważany za największego z żyjących muzyków francuskich, napisał w związku z przypadającym w r. 1954 3000-leciem Jerozolimy wielki epicki fresk muzyczny pt. „Dawid" wg libretta A. Lunela. Ta opera w 5 aktach i 12 obrazach obejmuje wielką ilość kompozycji chóralnych. W duchu antycznym potraktowany w nim jest chór współczesnych Izraelitów. Wystawiony w mediolańskiej „La Scala", „Dawid" odniósł niebywały sukces, dorównujący sukcesom baletu radzieckiego.

„PANI CHRYZANTEM" W PARYŻU

Znakomita śpiewaczka japońska Sadako Mitamura — zwana powszechnie „Panią chryzantem" odbywa obecnie swoje wielkie tournée po Europie. Między innymi — odwiedziła ona i Paryż, gdzie śpiewała w Operze partie „Madame Butterfly". Występy jej wzbudziły ogromne zainteresowanie paryżan i spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem publiczności.